№ 39. Warszawa, dnia 25 (13) Września 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka*: Płody starości. — Tydzień polityczny. — *Powieść*: Cnoty w kąpieli J. Widmanna. — *Badania naukowe:* Historya. Puławy. — Dzieje kapłaństwa p. K. — Postępy hypnotyzmu II. p. J. K. Potockiego. — Wynalazki p. W. N. — *Literatura i sztuka*: Wybitniejsze prądy w nowoczesnej literaturze francuskiej I. p. F. Rawitę. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Nieborskiego — Cudze głosy. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dodatek za kwartał III, pierwszy zeszyt dzieła Espinasa **Społeczeństwa zwierzęce**.

POLITYKA.

PŁODY STAROŚCI.

Wszakże bywają całkowite zaćmienia słońca przez ciała daleko od niego mniejsze; dlaczegożby ks. Battenberg, gdy stanął między Bismarkiem a Europą, nie miał przed nią zakryć politycznego słońca? Tak się stało — a Germania zapłakała w ciemności, widząc, że nad czołem jej Mojżesza nie świecą już płomyki, bo Mojżesz już stary. Od lat wielu podkreślamy konieczność tłomaczenia polityki kanclerza niemieckiego starością. Frazeologia gazeciarska nie zwykła uwzględniać tego czynnika a potężnych rządców świata traktuje jak bogów—wiecznie młodych. Wszakże jest siła, której nic i nikt się nie oprze, której nawet ci najwięksi uledz muszą — siła czasu, niszcząca i rozstrajająca najmocniejsze organizmy. Zmogła ona i ks. Bismarka, przytępiła mu bystry wzrok, osłabiła myśl, podcięła rzutkość, pozbawiła wszystkich przymiotów młodości. Dziś pozostał starzec, otoczony czcią, obdarzony niezmierną władzą i budzący trwogę, ale już niezdolny do śmiałych przedsięwzięć. Działa już tylko urokiem dawnym, chęcią łamania wszelkiego oporu, nałogami i narowami długiego i nieograniczonego panowania. Niemcy po raz pierwszy dostrzegli zmarszczki na twarzy swego Jowisza i zgrzybiałość jego ducha przy świetle wypadków bułgarskich. Wydali oni przeciągły jęk, którego nie zdołały zagłuszyć urzędowe sykania. Pierwsze zwątpienie jest najgorszem, bo nigdy nie znika bezpłodnie, lecz rodzi długi, nieskończony łańcuch innych. Bismark też bezwzględnej wiary ziomków i całego świata w swój geniusz nie odzyska — będzie już tylko człowiekiem ułomnym, omylnym.

My objawy jego starości dojrzeliśmy tam, gdzie on wydawał się być Herkulesem, odrywającym łeb hydrze — w namiętnem, bezmyślnem, okrutnem prześladowaniu polaków. Dziś każdy niemiec z niekoszlawym rozumem i nieprzegniłem sumieniem przyzna, że cały ten drakonizm był zaciekłym a głupim, spełnił bowiem i spełnia szereg aktów barbarzyńskich, narażając kraj własny na nieobliczone szkody. Zwłaszcza pograniczny handel i przemysł tak ucierpiały, że dotąd ustawicznie błagają o złagodzenie surowych praw; wszystkie interesy, które opierały się na potrzebach ludności sąsiedzkiej i stosunkach z nią, zostały podkopane. Polacy nie chcą i nie mogą dawać niemcom tych korzyści, które dotychczas dawali a ten rozbrat musi stratami odbić się na dobrobycie niemieckim. Nawet ten środek zagłady, po którym obiecywano sobie największej powodzenia, okazuje się już dziś lichym płodem gniewu starca. Mówimy o kolonizacyi germańskiej na wschodnich kresach Prus. Dopóki ta sprawa wisiała w obłokach, jaśniała tęczowymi blaskami; gdy ją sprowadzono na grunt rzeczywisty, przedstawiła się bardzo kosztownym kaprysem satrapy. *Kuryer poznański* rozjaśnił ją bardzo ciekawym rachunkiem. Należy pamiętać, że rząd pruski postanowił nietylko zakupić dla osadników ziemię, ale nadto podzielić ją na kolonie, wznieść potrzebne budynki, zakupić żywy inwentarz, uregulować ciężary gminne i kościelne, słowem — stworzyć zupełnie zaopatrzone całostki gospodarcze. Przeważnie mają być osady 80 morgowe. Otóż *Kuryer* oblicza: 80 morgów (po 150 marek) = 12,000 m.; koszta rozmierzenia i bicia dróg 170 m.; dom mieszkalny z mleczarnią 2,500 m.; stodoła 1,800 m.; obory, stajnie, chlewy itp. 3,000 m.; zachowanie dla warzywa 140 m.; szopa dla sprzętów gospodarskich 170 m.; studnia w podwórzu 160 m.; założenie sadu z ogrodzeniem 150 m.; ogrodzenie podwórza 50 m.; strata procentów od kapitału przez czas parcelacyi, koszta nabycia gruntów, administracyi itd. 840 m.; zasiew oziminy z uprawą 360 m.; nieprzewidziane rozchody 300 m. — razem 22 000 m. Dodawszy do tego koszta uregulowania ciężarów gminnych, szkolnych itd., które rząd przyjmuje na siebie i obliczywszy je na 2,000 m., wypada gospodarstwo 80 morgów w cenie 24,000 m. czyli morg 300 marek. W niektórych okolicach — według *Kuryera* — nieobfitujących w glinę, kamień, wodę itp., wydatki mogą jeszcze w pewnych punktach się podnieść, urządzenie osad przez przedsiębiorców taniości nie zapewnia, nadto powyższą sumą nie jest objęty inwentarz żywy, sprzęty gospodarcze itd., co dosięgnie około 1,000 marek.

Bismark w jednej ze swych mów zapowiedział, że kapitały przeznaczone na kolonizacyę przynosić będą 3%. Gdyby rząd chciał istotnie takie odsetki wyciągnąć, dzierżawcy jego osad musieliby płacić 9 marek z morga co — zdaniem *Kuryera* — byłoby za ciężkie i najwyżej czynsz taki wynosić może 5—6 m., czyli, po odtrąceniu wspomnianych kosztów i niezbędnych nakładów dalszych (reparacye), kapitał da zaledwie 1%.

Gazety poznańskie przypuszczają, że rząd pruski nie obliczył się w tem przedsięwzięciu, że skutkiem tego wyznaczona przezeń komisya przystępuje do roboty leniwie, że dzierżawcy na tę przynętę pośpieszą bardzo skąpo; ustrzeżmy się złu-

dzeń i przyjmijmy, że pomimo kosztów i niepowodzeń maszyna zagłady żywiołu polskiego działać będzie; czy wszakże ona nie jest gilotyną polityczną dla samych jej twórców szkodliwą? Czy właściwie nie dogadza wyłącznie jednej okrutnej i zgrzybiałej woli? Prusy, wyniszczone wielkim budżetem wojennym, nadmiaru kapitałów nie mają i na to prześladowanie wycisnąć muszą chude kieszenie; na nowinę, z której wykarczowano polaków, nie przybędą pierwiastki niemieckie moralnie zdrowe i ekonomicznie silne, przywędrują chwasty i złe krzewy, które wyssawszy soki nowego gruntu z dogodnych warunków, dobrowolnie lub przymusowo go opuszczą. Przez twardą oponę politycznego fanatyzmu i zdziczenia przebija się do mózgów niemieckich ta myśl, ale ją tłumią wykrętami i bałwochwalstwem dla wszechwładnego bożyszcza. Jak gdyby chciano dodać sobie otuchy w zażartości i uciszyć powątpiewania o jej tryumfie, gazety pruskie przeżuwają stary, przed 50 laty w ciasnej głowie niejakiego Grollmana wylęgły pomysł rozdrobnienia Ks. Poznańskiego i przylepienia tych klusek do rozmaitych okręgów, ażeby tym sposobem zatrzeć nawet pozory odrębności dzielnicy polskiej. Jest to dopiero strach, który prasa ciągle wystawia i który również uwiązł w poważnych trudnościach, ale jakże on doskonale znamionuje zestarzałą imaginacyę Bismarka, czerpiącą natchnienia w konceptach ograniczonych polityków z przed pół wieku! Jestże to jeszcze geniusz twórczy, czy też zgrzybiały tyran? Nie przestaje tworzyć, ale czy te jego płody przypominają zwycięzcę Austryi i Francyi, fundatora jedności niemieckiej? Ciągle wielki władzą i przywilejami, ale coraz mniejszy duchem, tak mały, że nieraz spoglądać trzeba na karła w zbroi olbrzyma.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zgromadzenie narodowe bułgarskie zakończyło swe czynności uchwaleniem adresu do regencyi, w którym przedstawiciele ludu wyrażają swe uczucia dla księcia Aleksandra, surowo potępiają spiskowców i oględnie, ale stanowczo zaznaczają, że na żadne ograniczenie Bułgaryi nie zgodzą się nigdy. Adres ten wywołał pewne niezadowolenie w prasie rosyjskiej, napisany jednak jest w ten sposób, że niema racyi potępić go wyraźnie. Politycy bułgarscy złożyli dowody niemałej zręczności, program ich streścić się daje w dwóch punktach: zgoda z Rosyą, dyktowana nietylko przez poczucie wdzięczności, ale i przez uznanie konieczności oraz zachowanie swobód i niezależności narodowej. Program ten rząd tymczasowy i zgromadzenie przeprowadza poważnie i zręcznie, nie widząc lub nie chcąc widzieć żadnej sprzeczności pomiędzy zasadniczemi jego podstawami.

Tymczasowy pełnomocnik rosyjski p. Nekliudow oświadczył, że Rosya nie chce bynajmniej ograniczać samodzielności bułgarów, ale nie może zgodzić się w żadnym wypadku na powtórny wybór Battenberga. Konsul dodał jeszcze w rodzaju przestrogi, że rząd tymczasowy nie jest dotychczas urzędownie uznanym i że uznanie to zależy właśnie od jego szczerości i rozsądku w postępowaniu. Istnieje jeden punkt, w którym sprzeczność dążeń występuje wyraźnie. Zarówno zgromadzenie narodowe, jak i armia domagają się ukarania spiskowców, tymczasem rząd rosyjski, a nawet i niemiecki nie zgadzają się na to. Pomimo przedstawień pełnomocnika rosyjskiego, rząd tymczasowy nakazał dalej prowadzić śledztwo, obiecują tylko, że sądzenie sprawy nastąpi dopiero po zwołaniu „Wielkiego sobranja,“ które zbierze się w d. 11 października.

Popularny bardzo wśród ludu wiejskiego Zachar Stojanow, właściwy organizator przewrotu w Filipopolu ogłosił obecnie odezwę do ludu rumuńskiego, w której gorąco i serdecznie dziękuje za współczucie okazywane stale przez sąsiedni naród sprawie wyzwolenia Bułgaryi. Stojanow jest jawnym nieprzyjacielem Rosyi, ogłoszenie odezwy jego stawią w związku z projektem wybrania na tron bułgarski króla rumuńskiego Karola i ogłoszenia unii osobistej obu krajów. Śmiały ten pomysł zyskuje podobno wielu zwolenników, którzy liczą na to, że Niemcy i Austrya popierać go będą niezawodnie.

Do Sofii wyjeżdża w tych dniach generał Kaulbars, jako nadzwyczajny pełnomocnik Rosyi. Dyplomata ten zna wybornie miejscowe stosunki, jakiś czas nawet był ministrem w Bułgaryi po zamachu stanu, dokonanym w 1881 r. i zawieszeniu konstytucyi. Wspomnienie to nie byłoby zbyt dobrą rekomendacyą w oczach bułgarów, ale generał podczas ostatniej wojny z Serbią, wykazał im życzliwość swoją i bezstronność. Zadaniem p. Kaulbarsa będzie, jak ogłasza *Journal de St. Petersbourg*, zaprowadzenie porządku i porozumienia między różnemi stronnictwami, którym pełnomocnik rosyjski, obeznawszy się z położeniem rzeczy, chętnie udzieli rad właściwych.

Węgrzy niezadowoleni są z polityki hr. Kalnoky'ego i oburzenie ich wyraziło się na sejmie podaniem dwóch interpelacyj — Horwatha i Iranyi'ego, przywódców prawicy i lewicy. Rozprawy nad postawionemi przez dwóch posłów pytaniami rozpoczęły się właśnie w tych dniach.

Nie potrzeba dowodzić, że i Anglia niezadowoloną jest wciąż z przebiegu spraw na półwyspie bałkańskim, dzienniki brytańskie miotają wciąż pogróżki, okazuje się nawet, że rząd nakazał pewne przygotowania wojenne. Z hałasu tego wynurza się coraz wyraźniej projekt zagarnięcia Egiptu. Zwykły to środek polityki angielskiej, jeżeli zaś opinia publiczna w kraju jest pomimo to niezadowoloną, to dla tego, że uważa kompensatę jako niedostateczną, i obmyśla, czy się nie da jeszcze czego przy zdarzonej sposobności schwycić.

W parlamencie niemieckim inicyatywę rozpraw wzięli socyaliści, i to nietylko w sprawie przedłużenia stanu wyjątkowego w Lipsku i okolicy. Zamierzali oni również zapytać rząd o postępowanie jego odnośnie do wypadków bułgarskich, ale nie znalezli poparcia innych stronnictw, których przedstawiciele nie mogą odważyć się jeszcze na potępienie polityki zagranicznej kanclerza.

Cesarz Wilhelm podczas manewrów w Strasburgu zasłabł niebezpiecznie, nie pojechał więc do Metz, lecz powrócił do Baden-Baden. Podobno stan jego zdrowia poprawił się obecnie, chociaż niektóre dzienniki chorobę tę nazywają wprost

---

POWIEŚĆ.

CNOTY W KĄPIELI

J. Widmanna.

Dzień sierpniowy był tak gorący, że ryby uciekały w najniższe głębie wód, gdyż ogrzane słońcem wierzchnie fale parzyły je, jak wrząca woda.

Dnia tego cnoty, którym skwar również dokuczał, postanowiły wziąść zimną kąpiel i powędrowały razem z miasta. Zdala wyglądały jak szereg pensyonarek, idących na spacer. Poniekąd istotnie należały one do tego rodzaju. Mianowicie od pewnego czasu założyły towarzystwo śpiewackie, które początkowo zwać się miało „Fijołkiem,“ któremu później wszakże dano szanowną nazwę: „Konwencyonalnej moralności.“ Mianem tem wyłączyły ostatecznie ze swego grona kilka niewiast, które dawniej do niego się zaliczały. Nawet gąska Uczciwość z trudem utrzymała się w stowarzyszeniu; cierpiano ją, gdyż ona jedna posiadała pewność w czytaniu nut i odwagę śpiewania partyj solowych, czego żadna inna nie umiała.

Wyszły więc cnoty za miasto i wkrótce znalazły się w gaju bukowym, po którym szumiał wietrzyk wieczorny i w którego najzaciszniejszem miejscu czarny stawek, jak ciemne, wiecznie otwarte oko, cicho i samotnie wsysał tajemnice lasu.

Uczciwość odrazu wskoczyła ze ściśniętemi nogami w wodę, która prysnęła wokoło: nie potrzebowała się rozbierać, gdyż zawsze jest nagą. Wszystkie inne były odziane długiemi, fałdzistemi szatami, których bezmierną obszywkę wloką zwykle przez moralne pisma dla dojrzalszej młodzieży, tak że dzieciom często oczy zamykają się przed nieskończonością bogatych szat, wlokących się za każdą cnotą.

Czysta Kobiecość usiadła na korzeniu drzewa i z mozołem rozpinała swoją staroniemiecką suknię. Inne cnoty wstydziły się siebie wzajemnie, ale jedna osłonka opadała za drugą i często ukazywało się suche, zwiędłe ciałko. Rozebrały się tedy w gęstych zaroślach i cichutko plusnęły w wodę. Ale szczególny przypadek spotkał Idealność: nie mogła ona wcale zanurzyć się i jak biała bańka piany pływała po wierzchu, pomimo wysilonego rzucania się i zagłębiania. To też inne, które pływać nie umiały, trzymały się jej mocno, a gaik brzmiał lekkiem ich skrzeczeniem.

O tej właśnie porze przechadzał się w tej okolicy dyabeł, paląc swoje *Virginia*. Dziewicze imię tego gatunku cygar sprawia, że szatan przenosi je nad inne. Zresztą tytoń *Virginii*, który dziś palił, pochodził z bojaźliwej duszy filistra, ceniącego przedewszystkiem spokój, choćby to był pokój cmentarza, mieszczącego w sobie grób swobody. Im słabszą dusza taka bywa w życiu, tem mocniejszy wydaje odór na drugim świecie i smakowała dyabłu, jako odmiana, bardziej niż papierosy, które sobie zwijał z duszy radcy dworu.

Nagle stanął — dobiegło go echo owych skrzeczeń. Prędko, ale ostrożnie, w podskokach kota, spadającego nocą na gniazdo ptasie, zbliżył się do stawu i szybko zgasił cygaro, ażeby dym i ogień nie zdradziły jego obecności. Przy świetle księżyca, które właśnie przemknęło przez wierzchołki bukowe, spostrzegł kąpiące się piękności i zrobił minę starego barona, protektora sztuki, przypatrującego się letniemu obrazowi Makarta, na którym kobiety w rajskiem ubraniu grają partyę szachów.

— Niech cię Boulanger!—rzekł on (dyabeł zawsze używa zaklęć w zakresie współczesnej polityki). Ależ to są cnoty! Homerule i Coccapieler! Jakież ja tu mogę mieć łowy!

I cicho, po mokrym mchu, z pod drzew zebrał wszystkie szaty, koszule i pończochy, staniki i spódnice, wszystko, co należy

konaniem. Konanie to powolne trwać jednak może długo jeszcze. Książe Bismark wie o tem dobrze, że dni protektora jego są już policzone, śpieszy się więc nie z utrwaleniem swego stanowiska, bo przekonany jest, że je do zgonu zachowa, ale, jak dobry ojciec rodziny, myśli o swych dzieciach. W tych dniach właśnie syn jego Herbert mianowany został zastępcą kanclerza w wydziale spraw zewnętrznych. Stanowisko to jest jakby przygotowaniem do urzędu kanclerskiego. I w tym otwartym nepotyzmie widać objawy starości „żelaznego“ polityka.

W Madrycie wybuchła rewolucya. Kilka pułków ogłosiło Rzeczpospolitą, przyłączyła się do nich część ludności, reszta jednak wojska pozostała wierną monarchii i spiskowcy opuścić musieli miasto. Widocznie jednak, że posiadają oni znaczną siłę, jeżeli zamach odrazu nie został stłumionym. We wschodnich prowincyach ruszają się znowu karliści; stan rzeczy jest więc groźny dla monarchii, która w każdej chwili zniesioną być może.

Minister rumuński Bratiano o mało nie został zabity. Zamachu dokonał niejaki Aleksandresko, szynkarz. Tłumy ludu na wieść o zamachu wybiły kamieniami szyby w redakcyach i poturbowały kierowników pism opozycyjnych.

Do Dublinu przyjechał nowy wicekról, lord Londonderry. Miasto przyjęło go w ten sposób, że w wielu domach pospuszczano rolety lub zamknięto okiennice, zamknięto również ratusz i zdjęto z wież flagi.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

PUŁAWY*).

W dwóch epokach streszczała w sobie „familia“ politykę polską: za czasów reformy podjętej przez dwu niepospolitych mężów stanu (kanclerza Michała i wojewodę Augusta Czartoryskich) i w okresie emigracyi, za długiego żywota ich wnuka ks. Adama, poświęconego obronie sprawy przegranej. W pośrednim peryodzie między tymi wysiłkami wstrzymania Rzeczypospolitej od upadku za pomocą reformy (jeszcze 1764 r.) a wydobycia jej z toni—nie orężem, lecz dyplomacyą po 1831 r., rozwijał się proces jej duchowego, cywilizacyjnego odrodzenia, a wtedy ogniskiem tego odrodzenia były znowu Puławy. Narody nie żyją wyłącznie polityką, choć brakiem ducha i rozumu politycznego upadać muszą, ale są dziedziny po za tą sferą, skąd tryska źródło życia społecznego, gdzie utrzymuje się i krzepi naród nawet wtedy, gdy już niepodległość stracił. I gdy tam jedna chwila burzy, niszczy to, co wznosiły wieki, lub co okupiły potoki krwi — to posiew pracy nie ginie, z gruzów wyrastają nowe żywioły i łańcuch rozerwany wiąże się znowu ogniwami myśli, nauki, sztuki i postępu. Tutaj, w Puławach odnajdujemy te ogniwa między odrodzeniem literatury za Stanisława Augusta, a epoką romantyzmu; tu punkt środkowy życia rozbiorowego, które wzięło w spadku pojęcia i dążenia, całą atmosferę czteroletniego sejmu; tu dalszy ciąg prac rozpoczętych w stolicy przed upadkiem rzeczypospolitej, stąd idzie pobudka, opieka, podnieta, aby to pasmo się nie przerwało. Wpływ Puław sięgał w szerz i w głąb społeczeństwa, nadając ton zabawom i towarzystwu, życiu literackiemu i politycznemu, sztukom i naukom. Zobrazowanie więc tego ogniska, skąd się rozchodziły promienie na cały naród, było zadaniem arcyważnem, lecz mógł je ten tylko podjąć, kto miał wolny przystęp do archiwum rodzinnego Czartoryskich, gdzie z czcią religijną przechowują wszystkie z owych świetnych czasów zabytki. Szczęśliwcem, któremu oddano do użytku ów bogaty materyał rękopiśmienny, pamiętniki i korespondencye, dokumenty i zbiory muzealne, odnoszące się bezpośrednio albo pośrednio do przedmiotu, był p. Dębicki. Jakże z tych zbiorów skorzystał?

Najprzód słówko o założeniu i planie dzieła. Autor nie trzymał się ani chronologicznego porządku, ani nie ujął materyałów w pewne grupy i kategorye, zamiast monologii pragmatycznej, daje nam rodzaj kroniki domowej Puław, z początku jako tako skupionej około ks. generała ziem podolskich i żony jego ks. Izabelli z Flemingów. Później jednak, gdy Czartoryscy występują na szerszą widownię, p. D. porzucając Puławy, wkracza w dziedzinę spraw politycznych i ta część dzieła, najobszerniejsza, jest najsłabszą. Po prostu niema uzdolnień historyka. Należy on do obozu *starych* stańczyków, jako członek redakcyi *Czasu* kolegował jeszcze z Manem, Popielem, Koźmianem itd. i przejął się ich zasadami, które pod względem naukowym tem się różnią od poglądów nowostańczyków (Bobrzyńskiego, Tarnowskiego, Smolki itd.), że ci nie osłaniają błędów szlachty *w przeszłości* i posługują się w badaniach metodą krytyczną, kiedy tamci, jako samoucy, nie mogąc czerpać ze źródeł krytycznie, starają się przysłonić wstydliwie „winowajców.“ Do tych ostatnich należy p. Dębicki, który w kwestyach społeczno-politycznych stoi do dziś na stanowisku monarchiczno-katolickiej, na pół szlacheckiej konstytucyi 3 maja. Obok tych zabarwionych szkieł mącą mu wzrok panegiryczne uczucia dla domu Czartoryskich, odgrywającego pierwszorzędną rolę w dziejach Polski, ale nie będącego nieomylnym. P. D. zrósł się — jak powiada — do tego stopnia ze społecznością Puław przez kilkoletnie z nią obcowanie,“ że widzi w niej same tylko „sympatyczne, barwne i świetne rysy.“ Ten kąt widzenia zaostrzył się w olbrzymim, ale jednostronnym zbiorze materyałów, wymagającym kontroli ze strony przeciwnej. Mimo tych wad, zawiera monografia p. D. obok prawdziwych zalet, wiele ważnych a dotąd nieznanych szczegółów, z którymi zapoznamy tu czytelnika pokrótce.

Lubimy rzeczy starożytne, nie lubimy staroświeckich, to też nie zawsze jesteśmy sprawiedliwymi wobec bliższych nas pokoleń, które jeszcze nie pokryte pleśnią wieków — przedstawiają nam się jako spłowiała suknia, dawno wyszła z mody. Podebnego uczucia doznajemy, spoglądając dziś na epokę puławską, słysząc ten ton sentymentalny, jaki tam panował i stamtąd szeroko się rozchodził, te mieszane dźwięki muzy klasycznej w brzasku ducha romantycznego. Trzeźwy wzrok badacza coraz bardziej oddala się od tego, co było natchnieniem ostatnich klasyków i pierwszych romantyków, co wynikło z tragiczności wypadków, a miało silę odporną w wrażliwości pokolenia, przechodzącego

*) *Puławy* (1762—1830), monografia z życia towarzyskiego, politycznego i literackiego, na podstawie archiwum ks. Czartoryskich w Krakowie, opracował Ludwik hr. Dębicki; tom I str. 410, tom II str. 378; Lwów. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta. 1887.

---

do toalety cnót. Jak złośliwy Hagen z nimfami Dunaju, podobnie postąpił władca piekła. Wytłomaczył sobie, że przecie cnoty nago do miasta nie wrócą, będą zatem musiały wiecznie tu siedzieć nad stawem— a świat, no, przestanie być moralnym!

Zaledwie porwał swą zdobycz, wymknął się delikatnie i nie jak handlarz starzyzną, ale buchając parą, pośpieszył do piekła!

Tymczasem cnoty dostatecznie już ochłodziły się i wyszły na brzeg. O nieba! Szat nie ma! Rozległy się płaczliwe skargi.

— Gdybym przynajmniej widziała była zuchwałego rabusia! — narzekała czysta Kobiecość, której jękom towarzyszyły żale towarzyszek.

Tylko Uczciwość, jak zawsze żywa i stanowcza, wyskoczyła ze stawu i nie troszcząc się o inne, pobiegła prosto do miasta.

Dyabeł, przybywszy do piekła, stanął przed aparatem dynamicznym, podobnym do znajdującego się na Wezuwiuszu semografu Palmierego, który wszakże oznacza nie trzęsienia ziemi, lecz stan publicznej moralności na ziemi w każdej chwili. Z początku skazówka była nieruchomą i objawiała tylko małe wahania około punktu, stanowiącego normę dla parnych nocy letnich. Ponieważ szatan nie dostrzegł niczego, co by mu się wydało nowem, pochylił głowę zadowolony nad aparatem i zasnął głęboko, zmęczony nieco nową wycieczką.

Zbudził się. Pierwsze jego spojrzenie padło na tarczę przyrządu. Zdumiony ujrzał, że skazówka poruszała się szybko, gorączkowo, bynajmniej nie w kierunku przez niego oczekiwanym na lewo, ku minimum moralności, lecz ku nadmiernemu, szalonemu jej wzrostowi — na prawo.

Dyabeł sądził, że śni. W tej chwili wbiegło przez komin kilku najwprawniejszych jego komisantów, mieszających na ziemi wykłady na korzyść piekła i przyniosło zgodny raport, że na górze cnota zapanowała wszechwładnie a ich interesy bankrutują.

Nastąpiło wielkie, ogólne osłupienie.

— Czy to być może? Czy to być może?— mruczał szatan, trąc czoło, tak że mu rogi z pod czapeczki wylazły.

Do piekła wpadł mały dyabełek, ale fizyk. Zdala już zawołał kwaczącym głosem:

— To jest bardzo naturalnem, że na ziemi wybuchła moralność i zaraza szerzy się coraz gwałtowniej. Cnoty, z wyjątkiem Uczciwości, gdzieś przepadły; Uczciwość zatem pozostała jedyną mistrzynią. Stąd ów niebezpieczny i groźny przypływ fal moralnych.

Teraz dopiero dyabeł zrozumiał, co mu czynić wypada. Nie rzekłszy słowa, pozostawił wędrujących profesorów, chwycił węzełek z odzieżą i jak wystrzelona rakieta popędził na ziemię, nie odpocząwszy, aż dosięgnął gaju, gdzie towarzystwo „Konwencyonalnej moralności“ ciągle jeszcze siedziało na mchu.

— Przepraszam panie — rzekł powitawszy cnoty grzecznie. Pozwoliłem sobie niestosownego w moim wieku żartu, za który sam najbardziej odpokutowałem.

Rzucił suknie i odleciał.

Cnoty przywdziały swoją odzież i wróciły do miasta. „Konwencyonalna moralność,“ pomimo lekkiego przeziębienia swych członkiń, rozpoczęła na nowo harmonijną pracę. Ale Uczciwość natychmiast usunięto ze związku, gdyż ona działała na własną rękę, nie troszcząc się o towarzyszki.

Wieczorem tegoż dnia skazówka tak posunęła się na lewo, że dyabeł w doskonałym humorze każdemu ze swych wędrownych profesorów dał po paltocie nieprzemakalnym, małego zaś kwaczącego fizykusa mianował honorowym doktorem i rzeczywistym radcą gabinetowym.

z dziwną łatwością od uniesień i walk do zabawy, od rozpaczy do nadziei; lecz i ta przejściowa epoka spełniła swe rozwojowe posłannictwo. Chcąc należycie ocenić jej znaczenie, trzeba się przedewszystkiem przenieść na grunt tamtejszy. Jeżeli pierwsza rezydencya Czartoryskich, Powązki, nie miała nic swojskiego i była tylko konwencyonalną kopią Trianon'u, sztuczną ilustracyą poezyi Delille'a, odtworzeniem malowideł Watteau i Bouchera, to Puławy więcej zbliżyły się do natury; świadczy o tem sam park, który, pod wpływem podróży księżnej Izabelli do Anglii, pozbywa się charakteru francuskiego. Ta zmiana stylu w ogrodnictwie jest pierwszym wyłomem, dokonanym w warowni pseudoklasycyzmu francuskiego. W sposobie patrzenia bowiem na przyrodę i w stosunku sztuki do natury zawisła cała różnica między poezyą XVIII wieku a tą, która miała zabłysnąć w pierwszych dziesiątkach lat naszego stulecia. Arkadyjskie sielanki znikają w Puławach, nie wznoszą się już sztuczne ruiny bogom greckim poświęcone, lecz powstaje natomiast świątynia dla pamiątek ojczystych; nie snują się po gazonach udani pasterze, ale prawdziwa chata włościańska sąsiaduje bezpośrednio z pańskim parkiem i jej mieszkaniec zbliża się do książęcego dworu. Z tego zaś otoczenia dają się wysnuć dwa kierunki, dwa najważniejsze cele, które złotemi literami zapisano w dziejach Puław: „cześć narodowych pamiątek i miłość ludu.“

Umysłowość Polski dwa miała siedliska w drugiej połowie XVIII w.: jedno na dworze Stanisława Augusta, drugie w Puławach. Przeciągnąwszy paralelę między Krasickim, Naruszewiczem i Trembeckim z jednej, a Kniaźninem, Woroniczem i Niemcewiczem z drugiej strony, będziemy mieli linię graniczną dwóch szkół i dwóch obozów, na jakie rozpadła się ówczesna literatura i poezya. Kiedy w Warszawie po *Monachomachii* i satyrze „Dewotka“ biskupa Krasickiego, Węgierski i wielu innych wtórować będą wolterowskiej Pucelli — w Puławach Karpiński i Woronicz żale po stracie ojczyzny dostroją do tonu psalmów i modlitwy. Z Warszawy szerzy się wpływ klasycyzmu francuskiego i encyklopedystów, w Puławach odradzają się uczucia religijne i patryotyczne. Gdy era romantyczna zaświtała w Wilnie, musiała jeszcze stoczyć walkę z klasycyzmem warszawskim, ale uczucia swe mogła już nawiązać z Puławami. Patryotyzm polski przebywa ważne fazy, dawniej na krój starożytnych i w stylu klasycznym, staje się w chwilach katastrofy wyłącznie sercowym; historyę ojczystą pojmuje jak legendę, a wszelkie prace i zadania—jako ciągły protest i środek pobudzania uczuć. Ten właśnie patryotyzm porozbiorowych czasów znajduje swój wyraz w Puławach. Można dziś łatwo wykazać jednostronność a poniekąd i szkodliwość tego kierunku, który nie pyta o zasady, ale o uczucia, apoteozuje przeszłość, w nauce i literaturze ma tylko jedną tendencyę na celu, a w polityce, nie rachując się ze środkami, zna tylko dwojakie hasło: nienawiść nieprzyjaciół i gotowość do ofiar. W owej epoce jednak był ten kierunek jedynym zbiornikiem politycznego życia. Ten patryotyczny charakter miała każda uroczystość, każda zabawa, każdy „zabytek chwały,“ każda dekoracya w Puławach.

Ta rezydencya magnacka posiada wogóle wcale odmienne od zwykłych dworów możnowładców znamiona. Znika tu tłum dworski, zastępuje go grono literatów, poetów, artystów, młodzieży szukającej ogłady i nauki, którą książęta chętnie wokoło siebie gromadzą. W spisie mieszkańców Puław nie spotykamy już dawnych rezydentów z różnymi tytułami i urzędami, noszących barwy książęce. Natomiast w przybocznej kancelaryi, zorganizowanej jeszcze w Warszawie do rozległej korespondencyi politycznej i naukowej, za granicą i w kraju pracowało zawsze kilku sekretarzy pod okiem księcia. Dość wspomnieć, że przez tę kancelaryę przeszli: Piramowicz, Kniaźnin, Zabłocki, Niemcewicz, później zaś ks. Siarczyński, J. K. Szaniawski i wielu innych. Błędne atoli byłoby pojęcie Puław, jakoby wielkiego zakładu naukowego, pedantyzmu i powagi. Przeciwnie tam i poważne sprawy i zajęcia przybierały lekką formę światowości i pogoni za zabawą. Od kawalerów wymagano daru rozmowy, łatwości pióra, aby wiersz napisać do albumu, szaradę ułożyć, w grach towarzyskich dobierać rymowane końcówki i sypać dowcipami, a już kto zdołał napisać komedyę okolicznościową, odę na jakąś uroczystość — ten zdobywał sobie wawrzyny. Była to więc dla młodzieży szkoła rozmowy, a Puławy wydały całą generacyę słynnych *causeurs*. Grzeczność i galanterya rozwinęły się tu aż do przesady i ckliwości. Powstaje właśnie w tej epoce przejście między posuwistym, dosadnym, uniżonym a górnym komplimentem starych kontuszowców, a lekkim, powiewnym, choć niemniej zawiłym i lubującym się w przenośniach, porównaniach i superlatywach, komplimentem nowomodnych, po francusku przebranych polskich *incroyables*. Taka tu różnica jak między *barocco* XVI wieku, przechowanem w Polsce, a świeżo wprowadzonem francuskiem *rococco*. Było w Polsce dużo znakomitych dworów, ale żaden nie zyskał tego znaczenia, co Puławy. Braniccy mieli w Białym Stoku dwór okazalszy i etykietę ściślejszą niż król w Warszawie. Dwór Potockich w Tulczynie mógł się mierzyć z pierwszymi salonami paryskimi, w Puławach ostała się owszem staropolska gościnność i serdeczność, bez przepychu i etykiety. Przysłowie polskie, które doradzało, że „najlepiej z Ogińskim jadać, z Rzewuskim gadać, z Radziwiłłem pić,“ dodawało: „a z Czartoryskim żyć.“ Pod koniec swej przewagi panowie polscy, ulegając niepomiernej próżności i dumie, wykoszlawiają śmiesznie etykietę monarszą z zakrojem iście azyatyckim. Stary książę Jabłonowski w Annopolu wydawał, jako król, przywileje, Stecki dworzanom swym przyznawał ordery, a dokumenty owych czasów zaczynają się monarchiczną formułą: „My z Bożej łaski“ wojewoda, kasztelan itp.

(D. n.)

DZIEJE KAPŁAŃSTWA*).

Idee nasze o świecie nadzmysłowym wytworzyły się dopiero na tle procesu dziejowego ludzkości, a dowodem to, że z niemi nie spotykamy się u najniżej stojących ras ludzkich; że wreszcie nie są one czemś wrodzonem człowiekowi, wystarcza powołać się na głuchoniemych, którzy rodzą się i żyją bez owych idej, dopóki nie dowiedzą się o ich istnieniu i zawartości od wierzącego w nie otoczenia. Jak zaś powstały pojęcia religijne wśród ludzkości, odpowiedzi szukać należy w praktykach i poglądach obecnych ludów dzikich, tej zakrzepniętej w dzisiejszej chwili przeszłości szczepów cywilizowanych.

Badając warunki materyalne ludów pierwotnych, zauważyć musimy nieregularność niezmierną w przyjmowaniu pokarmów, zależną zresztą od niskiego stopnia produkcyi. Niech tylko burze poruszą falą morską i uniemożebnią połów ryb, niech słońce przypali silniej, wysuszy wodę i z braku wody i pokarmu zniszczy stada bawołów, co przebiegają stepy, człowiek wtedy mrze z głodu. Lecz za to z chwilą przyjaźniejszą śpieszy wynagrodzić sobie cierpienia głodu — je wtedy do upadłego. Wobec takiego nieregularnego odżywiania się, miewa on marzenia wyrazistości niezwykłej: to walczy w śnie z przeciwnikiem, to ugania się za zwierzem itd., przebudzając się w chwili, gdy go np. dusi wróg, a po przebudzeniu czując w ciele, wskutek trawienia nadmiernego lub niezupełnego, ciężar jakiś, którego nie miał, rzucając się na legowisko. Skąd wzięły się te widziadła senne, których niby dowodem pozostał ból realny na jawie? Dla umysłu pierwotnego nie może być mowy o wyjaśnieniu, jakie udziela nam fizyologia. Dlań istnieją dwa rzędy faktów: towarzysze świadczą, jako nie ruszał się był z miejsca, świadomość zaś podmiotowa powiadamia go wręcz przeciwnie. Z tego wszystkiego jedno widnieje wyjście, oto, że istnieją dwa „ja,“ jedno zamieszkujące w drugiem, których łączne pożycie stanowi właśnie o życiu na jawie, a rozłączenie powoduje bezwładność ciała, widziadła zaś senne to przygody, jakie trafiają się drugiemu „ja,“ gdy w odłączeniu od ciała buja po świecie. Lecz jak sobowtór ów wygląda? Na zasadzie genezy swej winien być subtelniejszy od ciała, lotniejszy — jak ów cień, co włóczy się za człowiekiem, naśladując ruch każdy, lub też jak ów „oddech,“ co podczas zimna unosi się z ust ludzkich. Bądź co bądź, to drugie „ja“ będzie zobrazowane na modłę „ja“ realnego, te same będzie posiadało kształty, te same będą w nim nurtowały potrzeby fizyologiczne, namiętności, żądze. Dodawać nie potrzebujemy, że podobne tłomaczenie otrzymuje zjawisko śmierci, a stąd, ponieważ natura sobowtóra skreślona jest według w rów świata doczesnego, możemy z góry p widzieć wyniki. Naprzód, widząc, śnie następuje przebudzenie, umysł to twierdzi i o przebudzeniu się z śmierci, lubo odkłada je na czasy mniej lub więcej dalekie — wynika stąd obowiązek zachowania ciała i ochronienia od zagłady; ponieważ świat sobowtórów kształtuje się według ziemskiego, przeto obok zmarłego grzebie się oręże, by miał czem walczyć w krainie cieniów, jadło, by nie zbrakło mu pożywienia; od czasu do czasu znoszą się na mogiłę przedmioty różne itd.

Z takiej to wiary w istnienie sobowtórów i chęci — mniejsza o bodźce — zaspokojenia ich potrzeb wyrasta gmach cały wierzeń i obrzędów religijnych, zarówno w najniższej, jako też najwyższej formie. Z pośród zmarłych przodków wydziela się z upływem wieków świat bogów, w swych stosunkach urządzony na wzór ziemskiego; podarunki pośmiertne zamieniają się w całopalenia bogom i objaty, grobowce stają się ołtarzami i świątyniami; wreszcie z osób, co przewodniczą w oddaniu zmarłemu przysługi ostatniej i troszczą się o zaspokojenie jego potrzeb zaziemskich, wykluwa się kapłaństwo, a wszystkie te przekształcenia poszczególne kroczą w zawisłości ścisłej od siebie, jako też od rozwoju całokształtu stosunków społecznych.

Pierwotny ustrój społeczny przedstawia gromadę zupełnie równoprawnych jednostek; nie ma tu jeszcze zróżniczkowania najmniejszego w funkcyach, najmniejszego podziału czynności. Więc i świat cieniów stanowi jedną jednolitą, niezróżniczkowaną ciżbę, po nad którą nie wyrósł jeszcze duch żaden, a w której członek oddzielny plemienia wyróżnia jedynie postać swych bezpośrednich i najbliższych przodków. Względem nich ma on sobie za powinność nieść objaty, zwracać się z zapewnieniami szacunku; jak widzimy więc, ofiary takie i oznaki czci (a stanowią one przynależność funkcyj kapłańskich) opierają się na stosunku natury prywatnej, kapłaństwo zatem w tym peryodzie pierwotnym jest

*) Herbert Spencer: *Ecclesiastical Institutions, being part VI. ot the principles of Socyology.* 1885.

p. B. zasypiała natychmiast i *o niezwykłej godzinie, z odkrytą głową, przez dość odludną dzielnicę miasta podążała w stanie sonambulizmu do mieszkania doktora...*

Zbliżamy się, jak widać, do epoki cudów, zaklęć, proroctw i mesyanizmu, tylko że teraz psychologowie nie pozwoliliby pewno żadnemu mesyaszowi ani umrzeć spokojnie, ani nawet zbawić ludzkości, nie wyrwawszy mu jego tajemnicy.

J. K. Potocki.

WYNALAZKI.

Nowy telefon magnetyczny. — Straszliwy statek torpilowy. — Nafta materyałem opałowym. — Rezultaty doświadczeń z niej otrzymane. — Sposób zabezpieczenia kolumn granitowych od wietrzenia. — Zastosowanie siły powietrza ściśnionego do poruszania mechanizmów z wielkiej odległości. — Nowe brenery.

Według prawa Faradaya, siła elektromotorowa prądów indukcyjnych w drucie telefonu magnetycznego jest proporcyonalną do liczby *linij siły*, przecinających drut w jednostce czasu, wskutek wibracyj blaszki. Dla wytworzenia przeto silnego przyrządu telefonowego, przesyłającego głos, potrzeba, aby możliwie jaknajwiększa liczba linij siły koncentrowała się na cewce pod wpływem drgań blaszki.

Badając rozkład linij siły, Colson przekonał się, że najlepszy układ dozwalający urzeczywistnić te warunki, zasadza się na pomieszczeniu blaszki wibracyjnej między ramionami magnesu w postaci podkowy, w którym jeden biegun oddziaływa na jej środek za pośrednictwem pierścienia z żelaza miękkiego, otaczającego rurkę, drugi zaś w pierścieniu z żelaza miękkiego, oddziaływa skośnie na krawędzie w pierścieniu z materyi niemagnetycznej. Jądro centralne łączy się tu z biegunem, odpowiadającym magnesowi, za pośrednictwem skrętu szruby, służącej do regulizacyi. Blaszka jest w ten sposób polaryzowaną od środka ku obwodowi i przedstawia w środku i na krawędziach dwa bieguny nazw sobie przeciwnych; linie siły koncentrują się tem samem na cewce i na całej powierzchni blaszki.

Nowy ten przyrząd działa z przedziwną dokładnością. wydaje dźwięki głosowe czyste i silne. Czystość tonu zawdzięcza telefon układowi centralnemu bieguna, na którym spoczywa cewka i działaniu linij siły na ogół molekułów blaszki.

Paryż podziwiał niedawno rzeczywisty statek torpilowy, zbudowany w pracowni Claparède'a w Saint-Denis i przez kilka godzin pozostający na Sekwanie, u podnóża mostu Zgody. Jest on najstraszliwszą machiną zniszczenia, jaką w naszym wieku dotąd wynaleziono. Statek ma trzydzieści trzy metry długości, zanurza się zaledwie na jeden metr w wodzie i przedstawia się w postaci powierzchni wypukłej, blaszanej, nad którą wznosi się most płaski, dwie stóp kwadratowych rozległości mający. Przód statku zajmuje komora, zaopatrzona w dwie rury wylotowe, obok których są zawieszone torpile Whiteheada. Pociski te kształtu podłużnego, długości 2,4 metrów, zakończone są z jednej strony stożkiem, z drugiej spiralnie. Po za tą komorą jest stanowisko służbowego, do pół głowy pogrążonego w dolnej izbie, za nim zaś, o dwa szczeble wyżej mieści się porucznik, dowodzący statkiem. Dwaj ci ludzie osłonięci są kapeluszem blaszanym, zaopatrzonym w soczewki, które im pozwalają obejmować wzrokiem całą drogę, jaką przebyć mają. Machina posiada dwa kominy; kajuty dowódcy i służbowe mieszczą się w tyle statku. Ta żelazna łupina z dowódcą i dwunastoma ludźmi niesie w swem wnętrzu śmierć tysiąca innych ludzi. Rury wylotowe przyjmują pociski zapomocą spiralnej, o której wspomnieliśmy wyżej, a wyrzucają je pod wodą z odległości dwustu metrów od okrętu, mające go zginąć. Pocisk, dzięki swemu mechanizmowi automotorowemu, biegnie sam przeciw nieprzyjacielowi z szybkością 40 kilometrów na godzinę. Przy wylocie zaś otrzymuje pożądane pochylenie. Jeżeli okręt zaatakowany jest pancernikiem, pokrytym siatką z oczkami stalowemi, straszliwa machina zanurza się pod tę jego zbroję, pomija ją i rozdziera boki kolosu potężną swą siłą eksplozyi.

W czasie normalnego swego działania, to jest gdy groźny statek torpilowy odbywa ewolucye, zaledwie zanurza się on w falach, płynąc z szybkością 20 lub 22 węzłów, czyli 39 kilometrów na godzinę. Pomimo tej straszliwej potęgi statku torpilowego, potrzebuje on spełniać swe obroty z szybkością błyskawiczną i matematyczną prawie dokładnością; jedna sekunda opóźnienia w działaniu, równie jak w cofaniu się, przynosi śmierć zamiast zwycięztwa.

Statek ten nazwany został *rzutotorpilowym*, dla odróżnienia od *nośnotorpilowych*, z jakich francuzi użytkowali w Fu-Tszeu i Sheï-Poo, w których torpila nie była pociskiem, lecz masą nieruchomą, zawieszoną na końcu drąga i wciskaną pod spód pokładu okrętu nieprzyjacielskiego. Pod tym względem wyższość nowego statku torpilowego jest widoczną, ponieważ w nim sam pocisk jest, rzec można, statkiem podwodnym, nieporównanej szybkości.

Odpadki naftowe zaczynają wchodzić w użycie, jako materyał opałowy dla parowozów. Z ropy amerykańskiej otrzymuje się tylko 10% odpadków, natomiast z kaukaskiej pozyskujemy ich 70 do 75%; wynika stąd, że nafta kaukaska głównie dostarcza materyału opałowego, który z wielką oszczędnością opalać może kotły dróg żelaznych. Doświadczenia odbywane w ciągu kilku lat na drodze Griazi-Carycyńskiej przekonały o tem najwidoczniej. Odpadki naftowe, którymi tam opalano parowozy, zawierały 87,1% węgla, 11,7% wodoru i 1,2% tlenu, przy temperaturze 0°. Siła ogrzewalna odpadków przedstawia 19,260 jednostek cieplikowych angielskich, a 1 ich kilogram odparowywa teoretycznie, przy ciśnieniu 8 atmosfer, 16,2 kilogramów wody. W rzeczywistości zaś 1 kilogram odpadków odparowywa 12,25 kilogramów wody. Nadto doświadczenia okazały, że 1 kilogram odpadków zastępuje 2,1 kilog. antracytu, lub 2,3 kilog. węgla kamiennego.

Na drodze żelaznej carycyńskiej urządzenie dla zastosowania nafty w opalaniu kotłów jest następujące. Po wyjęciu rusztów, w palenisku na dnie popielnika buduje się trzon z cegły ogniotrwałej, ze sklepieniem, dochodzącem pod dolną scrynę rur płomiennych. Na tylnej ścianie paleniska, tuż pod ramą dolną, mieści się smoczek Giffarda, za pośrednictwem którego para wrzuca do paleniska odpadki ze skrzyni, pomieszczonej na tenderze w tem samem miejscu, gdzie dotąd składano węgiel. Na głównych stacyach urządzone są wielkie kadzie żelazne do przechowywania odpadków, z których to kadzi sieć rur doprowadza je do mniejszych kadzi, ustawionych obok żórawi wodnych i posługujących do wymierzania objętości tego płynnego paliwa. W ten sposób tender zaopatrywanym jest jednocześnie w wodę i w paliwo, bez oddzielnej posługi.

Dla rozpalenia kotła wrzuca się do paleniska garść pakuł, zmoczonych w odpadkach naftowych, a następnie puszcza się w bieg smoczek, działając parą z sąsiedniego parowozu lub z innego kotła. Czynności tej dokonywa się w ciągu 25 do 50 minut, co jest ważnym zyskiem na czasie, gdyż przy użyciu innego paliwa potrzeba na to zużyć 1 do 3 godzin. Płomień regulowanym jest dokładnie przez odpowiednie ustawienie kurków, doprowadzających parę i odpadki do smoczka. W ten sposób spalenie następuje zupełnie bez dymu i iskier, przytem unika się szybkiego ochładzania się ścian, głównie rur płomiennych, gdyż drzwiczki paleniska są zawsze zamknięte, a powietrze wpuszczane przez klapy popielnikowe, musi okrążać okład z cegły, czyli wpierw się ogrzać, zanim dojdzie do rur. Tak ogrzane powietrze utrzymuje się jeszcze przez pewien czas i po zgaszeniu ognia. Ważną też dogodność stanowi tu, że gazy, wytwarzające się przy gorzeniu, nie nadgryzają ścian kotła.

Nadmienić winniśmy, że odpadki naftowe służyć mogą niemniej do opalania pieców w domach prywatnych, a koszt tego opału jest nierównie mniejszym, jak przy użyciu węgla kamiennego lub drzewa. Więcej szczegółowy opis użycia tego nowego materyału opałowego podaje *Przegląd techniczny* w zeszycie czerwcowym z roku bieżącego.

Granit z upływem czasu wietrzeje; dla zabezpieczenia pomników od tego następstwa, jak powiada *Przegląd techniczny* w ostatnim swym numerze, zastosowano wielce skuteczny środek z najpomyślniejszym rezultatem. Chodziło tu o starożytny obelisk egipski w Nowym-Yorku. Całą powierzchnię monolitu pokryto lakierem bezbarwnym, złożonym z 25 części czystej parafiny, z 5 cz. terpentyny i z 5 cz. kreozotu. Lakier ten ogrzany do 100° Cels. wcierano w ów obelisk najpierw szczotkami, a potem do sucha szmatami. Powierzchnia, pokrywana lakierem, była również częściowo ogrzewaną do 100° Cels. w miejscach płaskich koszykiem napełnionym węglami żarzącymi, a przy zagłębieniach i przegubach, odpowiadających hieroglifom, lampką spirytusową o trzech płomiennikach. Obelisk nic nie stracił na właściwej sobie barwie, a ochronny lakier nasycił go do głębokości dwunastu milimetrów.

Myśl wywierania siły w miejscowościach dość odległych od jej wytworu znajduje coraz szersze zastosowanie. W Birminghamie towarzystwo udziałowe otrzymało obecnie nadanie na ułożenie sieci rur w mieście i w okolicach zamiejskich, dla rozprowadzania powietrza ściśnionego do użytku przemysłowców i rękodzielników. Machiny parowe o sile olbrzymiej 8,400 koni mają wtłaczać do sieci, zapomocą pomp odpowiedniej konstrukcyi, powietrze oczyszczone i zgęszczone do ciśnienia 3½ atmosfer. Towarzystwo zamierza zaopatrzyć w siłę mniejsze zakłady przemysłowe i warsztaty rękodzielnicze, którym nieopłacałoby się zaprowadzenie kotłów parowych, a niemniej i te miejscowości, w których ich urządzenie jest wzbronione przepisami administracyjnymi. Z tego też względu początkowo ma być dostarczaną siła około 5,000 koni parowych. Na stacyi centralnej ustawione będą 4 machiny powietrzne, każda o 2 cylindrach tłoczących i 44 kotłów. Przekrój cylindra wynosi 1,3 m., skok 1,52 m., a jego prędkość 3,6 m. na 1 sek. Średnica głównej rury tłoczącej 76 centymetrów, a dwa jej rozgałęzienia mają 60 ctm. średnicy; z temi ostatnimi łączą się inne przewody aż do skrajnych, mających 10 ctm. średnicy. Całkowita długość sieci rur powietrznych wynosi 14 kilometrów; ułożone są one w kanałach betonowych, przykrytych płytami kamiennemi. Ilość zużytej siły w każdym zakładzie fabrycznym, wymierza odpowiedni przyrząd. Całkowity koszt powyższych urządzeń wyniesie około 1,896,000 rubli. Towarzystwo spodziewa się, iż czysty zysk z tego przedsiębiorstwa da 15%, zakłady zaś przemysłowe i rękodzielnicze osiągną 20 do 50% oszczędności na dotychczasowych kosztach utrzymania kotłowni.

Za wysoką zaletę tego systemu dostarczania siły motorowej fabrykom miejskim poczytać należy usunięcie kotłów z ich ogniskami, przedstawiającemi mniejsze lub większe niebezpieczeństwo pożaru, przyczem w ten sposób pozyskane miejsce może być inaczej zużytkowanem. Wskutek udoskonalonego sposobu łączenia rur przewodnich, powietrze rozprowadzać można będzie bez znacznej straty na ciśnieniu, a tem samem siła, wytworzona w punkcie centralnym, da się spożytkować na dalekich nawet odległościach. W kilku miastach amerykańskich, a niemniej w Paryżu istnieją już zakłady, udzielające drobnym przemysłowcom siły motorowej, za pośrednictwem powietrza ścieśnionego. Zakład paryski dostarcza rocznie 25 milionów metrów sześciennych powietrza ścieśnionego, zapomocą sieci rur, mających długości 300 kilometrów. W ostatnich czasach powstał w Berlinie projekt budowy wielkiego zakładu rozsyłania powietrza ścieśnionego.

Niezależnie od tego, powietrze ścieśnione może znaleźć rozległe zastosowania przy odświeżaniu szpitali, szkół, fabryk itp., których dotychczasowa wentylacya wiele pozostawia do życzenia. W Anglii od dawna powietrze ścieśnione służy do celów kanalizacyi, a system pneumatyczny odwaniania ma być zastosowanym w Poczdamie.

P. Karol Parzelski, technolog, pozyskał patent wynalazku na udoskonalone brenery do lamp naftowych, z knotem płaskim, zbudowane na zasadzie teoryi, rozwiniętej przez Siemensa, z uwzględnieniem systemu Bunsena.

Dla otrzymania silnego światła potrzeba, aby wszelkie produkty olejów ciężkich, do jakich i nafta należy, spalały się dostatecznie w płomieniu brenera, spalać się będą wówczas tylko, gdy podniesiemy temperaturę do odpowiednio wysokiego stopnia. Tego właśnie p. Parzelski dokonał przez sprzężenie z sobą dwóch kapsli, w ten sposób, że przepływające przez nie powietrze dochodzi do płomienia nie zimne, jak w zwykłych brenerach, lecz mocno rozgrzane.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

WYBITNIEJSZE PRĄDY
w nowoczesnej literaturze francuskiej.

I.

Pomimo licznych, może nawet za licznych artykułów o literaturze francuskiej, ogół nasz z tego co wie, ma słabe pojęcie o głównych jej prądach, o ścieżkach i drogach naznaczonych w niej przez młode, świeże siły. Z wyjątkiem studyów ciekawych, bezstronnych i na znajomości rzeczy opartych Kaź. Waliszewskiego, lub rozrzuconych z rzadka krytycznych szkiców o tym lub owym autorze, nie spotykamy się z pracą, dającą nam pojęcie o całości, wskazującą bodaj główne, wytyczne punkty literackiego ruchu chwili bieżącej. Zarzut ten wygląda naprzód bardzo niesłusznie wobec szpalt dzienników wielkich, małych, poważnych i niepoważnych, szarej, burej czy czerwonej barwy, przepełnionych francuskiemi powieściami o czarnych psach, zielonych oczach itp., sprawozdaniami krytycznemi lub wzmiankami kronikarskiemi. Ktoby w tej powodzi szukał steru—bardzo by się zawiódł. Niektórzy nasi sprawozdawcy czy krytycy — i jeden i drugi wyraz uważamy za nieodpowiedni — traktują ten dział „jak za napaść,“ żeużyję tu ukraińskiego prowincyonalizmu — z równą a zawsze jednakową nieznajomością rzeczy; ręczę, że autorowie tego pokroju i tak zwane „nasze znakomite“ autorki—wymieniłbym nazwiska, gdybym się nie obawiał procesu — z taką samą swadą i niewiadomością gotowe pisać o literaturze chińskiej, gdyby to w modzie było i gdyby istniały bodaj spisy bibliograficzne z nowościami — resztę dorabiałyby według fantazyi, przy pomocy czerwonego ołówka.

Od paru tygodni zaledwie ujrzała światło dzienne książka zatytułowana *Essais de critique* Karola Fustera, z której treścią, odnośnie do niektórych wybitniejszych kierunków literackich, zapoznać czytelnika pragnę. Imię autora zapewne mało znane u nas; jest to pisarz młody, dorabiający się sławy, redaktor pisma *Revue litteraire et artistique*, wychodzącego w Bordeaux, który dał się już poznać z kilku prac: *L'ame pensive* (poezye), *Contes sans prétention*, *Critique et critiques* (broszura), a obecnie pod prasą: *Les tendresses* (poezye) i *La fin d'un siécle*; dodawszy do tego *Essais de critique*— będzie wszystko, co napisał.

Czy jest to praca wyczerpująca, dająca dokładny obraz ruchu literackiego we Francyi? Nie. Autor w przedmowie sam podaje skalę, według której mierzyć ją należy: nie są to wcale szkice w znaczeniu angielskim (studya), ale sposób przedstawienia, któryby w rysunku dał się oznaczyć wyrazem *croquis*, w literaturze nieco pierwotnym wyrazem *ébauches*. Powstały one pod wpływem konieczności niejako, w formie artykułów i przeglądów krytycznych, umieszczanych w *Revue litteraire et artistique*, noszą z tego powodu na sobie powszechne znamię piśmiennictwa europejskiego — ślady pośpiechu. Gorączkowa potrzeba zadośćuczynienia ciekawości publicznej pochłania przy robocie wszystkie siły w piśmiennictwie peryodycznem. Z tego gorączkowego szamotania się tylko ludzie potężniejszej energii i wybitniejszych zdolności zdołają zachować indywidualizm, reszta przeistacza się w bezbarwnych robotników. Zasługą — jeśli to może być zasługą — Ch. Fustera, że pisał z pewną swobodą i niezależnością młodości, mówiąc to, co czuł i myślał, i objął wybitne kierunki i prądy literackie, począwszy od impersonalizmu do pesymizmu i naturalizmu. To właśnie pociąga do jego książki, bo ta pozwala czytelnikowi śledzić pochód głównej w danej dobie idei, przejawiającej się najprzód niepewnie, trwożliwie, rosnącej i wzmagającej się potem, a nareszcie utrwalającej się mocno. Autor na usprawiedliwienie siebie przytacza tylko słowa Montaigne'a: *C'est icy, lecteur, un livre de bonne foy.*

W literaturze francuskiej pesymizm jest najwybitniejszym prądem, zarówno jak w każdej innej, szerzej rozwiniętej. Czy dziwić się temu należy? Sądzę, że nie. Jeżeli literatura odbija umysłowe życie swego czasu, to pesymizm jest zjawiskiem bardzo naturalnem. Żyjemy w jakiejś ciężkiej i smutnej epoce, więc ci, którzy ją malują, mają tylko ciemne barwy na swojej palecie. Wiara w dobro moralne, w naukę jest rzadkością. Niemal nad każdą pracą nowoczesną, począwszy od romansu, skończywszy na rozbiorze krytycznym, cięży jakieś dziwne, bolesne pognębienie. Największe charaktery, najwybitniejsze cechy zacierają się, a natomiast rozwielmożnia się i opanowywa zło, niczem będące wobec rozpaczy, któremu imie: zniechęcenie (ennui); nie niepochwytne zniechęcenie René, deklamacyjne Werthera, pełne skarg romantycznego bohatera—ale jakieś znękanie głębokie, jęk ciągle przygłuszany, skarga, która niechce być odgadniętą, gorycz, która życie najszczęśliwszych ludzi zatruwa. Zniechęcenie nowoczesne głośnem nie jest, nie krzyczy, nie płacze — jest cierpieniem cichem, powiedziałbym — często pełnem dumy.

Niektórzy utrzymują, że wyszukiwanie, a bardziej może pielęgnowanie pesymizmu jest przesadą, rozszerzaniem rany dla przyjemności pokazywania krwi. Życie zwyczajne, codzienne nie składa się tylko z dramatycznych wypadków; druga jego strona, tak zwana proza, ma także swoje radości, swoje do postępu dążenia. Wszystko to jest prawdą, ale czy to zmniejsza zło? Nie. Choroba istnieje i powoli, systematycznie, ale z jednostajną wytrwałością niszczy społeczny organizm. Żaden pisarz z końca nowego wieku nie zdołał uniknąć tej powszechnie grasującej zarazy! Flauberta ścigało zawsze jej widmo: życie przedstawiało mu się smutnem, płytkiem, rozpaczliwie mieszczańskiem i regularnem. On należał do tych, którzy ręce wyciągają do jakiegobądź rozwiązania, niewierząc weń i niemogąc znaleźć. Narysowawszy w *Madame Bovary* obrazy nużącej, trywialnej teraźniejszości, ucieka w czasy starożytne; pisze *Salammbo*, utwór, który jest niczem innem, tylko wyrazem chęci schronienia się, zapomnienia tego, co go otaczało. Flaubert był chory życiem nowożytnem, jego dzieło jedni uważali jako niemoralne, inni za przesadzone, a ono było tylko objawem boleści i rozczarowania. Było to dzieło wspaniałe, które wzrusza, zachwyca i napawa jednocześnie rezygnacyą indyjskiego fakira, wpatrującego się w tarczę słoneczną, oczy mu wypalającą.

Leconte de Lisle, jak Flaubert, nienawidzi życia — tylko zamiast przeklinać jego smutki, przeklina całe. Praca, czynność ludzka cięży mu; ludne miasta, te istne mrowiska, w których wre tyle myśli i tyle sprytu, wydają mu się smutnemi katakombami. Nicość pociąga go nieskończenie, nęci swoim wielkim spokojem, wieczną ciszą. On żył pośród legend budyjskich i nasiąknął ich filozofią czarującą, bo trzeba przyznać, że w ich szczęściu jest pewien czar, spoczywający w najwyższem zapomnieniu się, w śnie bez marzeń, w cieniu bez gwiazd. Budyjskie pojęcie szczęścia znajduje odgłos w naszej niespokojnej cywilizacyi. Mogłoby się to zdawać rzeczą dziwną, że ta sama idea, która tak odpowiada miękkości Indów, uśmiecha się również do naszej rozkołysanej i rozgorączkowanej myśli; w ten tylko sposób zrozumiemy rozdzierający wykrzyk Leconte de Lisle, rzucony umarłym, których pyta: „czy śpią przynajmniej zupełnie?“

Flaubert i Leconte de Lisle są to dwaj wielcy pesymiści naszej epoki; są oni pesymistami myśli, tak jak inni są serca. Do tej ostatniej kategoryi należy Paweł Bourget. Pesymiści myśli spekulatywnej cierpią spokojnie, cicho, nie wywierają szerokiego wpływu naokoło siebie. Inaczej dzieje się z pesymistami serca: ofiara uczuć jest obszerniejszą, więcej nas unosi, wzrusza i dla każdego psychologa przedstawia większą masę ponętnego materyału. Przedstawicielem tego kierunku jest, jak powiedzieliśmy, Paweł Bourget, który wcielał w sobie wszystko, co życie ma pięknego i ludzkiego. Czytając jego dzieła, odbieramy wrażenie jakiegoś nieznanego, a jednak wielkiego uczucia — wszechludzkiego smutku, owego smutku, wyśmiewanego często niesłusznie przez krytyków, nie zaglądających do duszy ludzkiej, nie badających przyczyny takiego a nie innego jej stanu.

Nie mamy na uwadze jego poezyj, często bardzo pięknych, a zawsze chorobliwych i mętnych; w poezyi nie widać wszystkich stron życia, które uwydatniają się w jego najnowszych pismach — powieściach i studyach, studyach głębokich, delikatnych, nacechowanych zadziwiającą przenikliwością. Lubi on poezyę angielską i od niej zapożycza chętnie nieco melancholii i upojenia. Lubuje się także w obrazach angielskich o małej przestrzeni, zamkniętych, szarych, w których błękit nieba blady, koloryt łagodny i smu-

tny. Jak większość prawdziwych artystów, on szuka półcienia i dlatego obrazom jego nie brak pewnej ponęty i mgły, która ją otacza; charakter taki łatwo podoba się, łatwo się do niego przywyka. Jest w nich wiele podobieństwa do obrazów Corot'a, w jakiemś niepewnem świetle, gdzie brunatne gałęzie, pożółkłe liście zwieszają się do wody, a rozpięte ponadtem niebo posiada nieokreślony koloryt.

Ramy takie odpowiadają w zupełności myślom, wywołanym przez autora. Nigdy nie wybitnego, energicznego, chropowatego; wszystko powleczone jakimś smutkiem, tęsknotą, nawet rozpacz nieprzejawia się żadnym wykrzykiem. Bourget zrozumiał prawdziwą barwę, prawdziwy dźwięk życia realnego. Pomiędzy szorstkim uśmiechem Fritz'a a skargą Werthera są uśmiechy łagodniejsze, skargi cichsze, które głębiej wnikają w duszę, więcej nas niewolą. Prawdziwy dramat nie ślizga się nigdy po wierzchu — taki właśnie pokazuje nam Bourget. On maluje życie takiem, jakiem jest: pełnem niepochwytnych cierpień i więcej jeszcze niepochwytnego szczęścia; życie nerwów, które nas opanowują a często tyranizują, w sercu wywołując cały szereg wzruszeń—od wielkiej radości do boleści i smutku. Ktoś kocha matkę — i zadaje jej sercu najsroższe cierpienia; kobieta kocha kogoś i oszukuje go; komuś dawne wspomnienia przeszkadzają dziś upajać się szczęściem — zdaje się, nie może być nic mniej melodramatycznego i mniej świeżego, a jednak te często banalne sceny autor rysuje z obserwacyą tak drobiazgową, z prawdziwością tak wybitną, że mimowolnie przenika jakaś goryez i litość nad naturą ludzką — niewolnicą otoczenia.

Serce ludzkie często nie umie uderzać regularnie: albo się zatrzymuje albo bije gorączkowo. Tylko w ten sposób możemy rozwiązać psychologiczną zagadkę podziału miłości pomiędzy dwie osoby. W takim nienaturalnym stanie przyszłość przedstawia się niepewną i smutną, jakiś rodzaj fatalizmu odbiera nam wiarę w przyszłość i szczęście. Stan taki P. Bourget doskonale zanalizował w *Essais de psychologie contemporaine*; stworzył pesymizm rezygnacyi, teoryę upadku i chociaż kończy książkę słowem odwagi, ale wydaje się ono dorobionem. Zdawałoby się, że nad nami i w nas nie ma żadnej nadziei, żadnej wiary, tylko niebo rozpościera po nad cierpiącą ludzkością swoją piękność zawsze jednakową i zawsze zmienną. Zdawałoby się, że najlepszem co zrobić można, jest przyjąć rzeczy w ich nagiej prawdzie, paść w objęcia życia i podążać do nieznanej otchłani — bez strachu.

Można zapewne dopatrywać się w tym wywodzie rozdzierającej, pewnej wyniosłej wielkości, ale jakże jest ona bezsilną, ile razy chodzi o zaspokojenie głowy lub serca! Taki pesymizm w praktyce czyni życie jeszcze więcej bezcelowem i zlodowaciałem. Ażeby poczerpnąć siłę do dźwigania zwyczajnych ludzkich trosk i smutków, potrzeba pewnego zapasu egzaltacyi, zachwytu, które on usuwa. Egzaltacya ta zdaje się być nawet właściwą naturze człowieka, a w każdym razie dopomaga do dźwigania brzemion życia ludziom słabej woli i charakteru. Że ono jest smutnem i ciężkiem — nieulega tu żadnej wątpliwości, ale czy jest takiem lub innem, żyć trzeba, a więc wyrobić sobie takie poglądy, któreby godziły ludzi z koniecznością, uczyniły ją znośną. Prawdziwa droga, jak zwykle, leży po środku: nie można żyć idealną wiarą pierwszych wieków chrześciaństwa, ani indyjskich fakirów. Życie przedstawia dla ludzkości coś głębszego, coś poważniejszego, niż ślepą wiarę połączoną z nirwaną, niż miłość i szczęście jednostkowe, niż artystyczną pogoń za niepochwytnymi ideałami. Jest ono obowiązkiem a przez to samo mieć musi swoje własne cele, zadania, radości i smutki wyższe po nad osobiste pragnienia i piękniejsze od nieokreślonych rojeń. Ale jeżeli rozwój społeczności czy narodu, naturalny czy sztuczny, od własnej lub cudzej woli zależny, krępuje w spełnianiu obowiązków, obniża zadania i cele ogólne, wprowadza niezgodę, rozbrat między ideałem człowieka a państwa — czy pisarz może nieuwzględniać takiego jej stanu i położenia? Nie, bo on jest malarzem jej myśli i uczuć.

Za cesarstwa — powiada Ch. Fuster — po wielkiej rzezi pod Wagram, pod Eylau, kiedy cesarz, otoczony małym orszakiem, w nocy objeżdżał pole bitwy, pełne krwi i trupów, każdy raniony oczekiwał go, śledził, potem resztki sił gromadził, i panując nad bolem i cierpieniem, opierał się o zakrwawiony koniec uciętej ręki lub nogi i wołał: *Vive l'Empereur! Vive la patrie!* My powinniśmy robić tak samo. Życie jest polem bitwy a my jesteśmy tymi pokaleczonymi żołnierzami. Trzeba umieć zapomnieć własnych boleści i ran, umieć podnieść się, wierzyć, że lepsza przyszłość jest udziałem ludzkości i wiarą tą dzielić się z upadającymi na duchu, aby ich dźwignąć z niemocy, wątpliwości i smutków.

(D. n.)

F. Rawita.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Znaki jesieni. — Klucz ciekawej tajemnicy. — Nieostrożność Bismarka i zwierzenie się ks. Aleksandra. — Warszawa, dowiadująca się późno o p. Grzegorzewskim. — Uroczystość niemiecko-polska. — Toasty jako dowody. — Szczęść Boże młodej parze. — Dyfamacya jako miecz Damoklesa nad prasą. — Horda, koczująca po grobach cmentarnych. — Potrzeba cedzenia tłumów pogrzebowych.

Wszystkie już znaki zapowiedziały jesień: zżółkłe liście, chłód, babie lato i nowe „sztandary" dziennikarskie. W tej porze zawsze luzacy prasy odgrzebują stare koncesye pism zawieszonych, wynajdują „palące potrzeby" i „niezajęte posterunki," strugają wiązkę prospektowych wiórów i zapraszają prenumeratorów do swoich namiotów, którymi często wiatr kołysze, lub przez dziury gwiżdże. Z wrzawy, bieganiny i hałasu naiwni wnioskują, że jesień urodziła jakiś nowy talent, jakąś nową ideę. Gdzie tam! Rodzi ona zwykle grzyby, które szybko próchnieją i giną w bardzo przerzedzonym lesie drzew literatury. Gdyby grosze miały świadomość, wiedziałyby, że każdy z nich, zarówno pojedynczo, jak w złotówce i dukacie — ma tylko wartość grosza. Dziennikarze natomiast mniemają, że kojarząc się w rozmaite kombinacye razem i z osobna, zyskają na wartości. Złudzenie, o którem... kiedyindziej pomówimy, zaznaczając je dziś między znamionami jesieni. Dotąd bowiem biegają po bruku niewcielone pogłoski, mniej zajmujące ludzi, niż książę bułgarski. Gazety zagraniczne łamią sobie ciągle głowę nad rozwiązaniem różnych zagadek, dotyczących jego losu, a przecież był bliski świadek, polak, który widział strącenie Battenberga z tronu i który je dla wszystkich odsłonił. Czemu zeznań tego świadka nie rozniósł po świecie telegraf, otrębujący tyle zmyśleń i domysłów, nie pojmuję. Wszakże to najjaśniejszy promień, jaki wpadł w ciemności sprawy bułgarskiej. Wytrysnął on publicznie 17-go września — zdziwienie moje wyrażam 22, a nikt jeszcze po za naszym krajem, ba, po za kołem czytelników *Gazety polskiej* ani przypuszcza, że w tem piśmie leży główny klucz tajemnicy. Wszyscy pytają, jak gdyby wcale nie wyszedł 206 numer owej *Gazety*: czy ks. Bismark rzeczywiście wpływał na abdykacyę ks. Aleksandra? Otóż wpływał niewątpliwie. P. J. Grzegorzewski towarzyszył mu w podróży powrotnej. Gdy przybyli do Sarambeju, zjawił się urzędnik telegraficzny z depeszą, którą wręczył p. Grzegorzewskiemu. Ten chciał ją odpieczętować, ale uprzedzono go, że adresowana do księcia. „Szukam więc ministra Tonczewa — pisze korespondent — i oddaję mu depeszę, która może stanowić kiedyś (?) epokę w dziejach Bułgaryi: była bowiem *od Bismarka*; kanclerz niemiecki *stanowczo doradzał* w niej księciu jaknajrychlejsze opuszczenie tronu bułgarskiego. Depesza zawiadamiała wreszcie, że wojny w obronie ks. Aleksandra nikt nie myśli prowadzić." Przedewszystkiem zauważyć należy, iż tyle sławiona ostrożność i tajemniczość ks. Bismarka jest widocznie farsą, skoro on posyła ważną i wielkiej dyskrecyi wymagającą depeszę po tak niepewnych manowcach, że one kładą ją z rąk do rąk i omal nie zostaje rozpieczętowaną i przeczytaną przez zwykłego, z natury gadatliwego, korespondenta. Wypadek naprawił niezręczność dyplomatyczną kanclerza niemieckiego, ale nie zapobiegł wypłynięciu oliwy na wierzch w dalszym ciągu. Ponieważ p. Grzegorzewski nie otworzył depeszy, więc mu jej treść musiał zdradzić ks. Aleksander, bo inaczej skądżeby się przedostała do *Gazety polskiej*? Prawdopodobnie, poufny stosunek do takiego zwierzenia się przyjacielowi zobowiązywał. Korespondent nie dochował sekretu — to z jego rolą i powinnością jest zgodnem, zwłaszcza, gdy nieszczęśliwy druh zrzekł się tronu; ale czemu prasa europejska nie korzysta z odkrycia? Ha, jeśli chce być ciemna, niechże sobie będzie. Ale my nie chcemy być ciemnymi i dlatego zapytamy bez ironii: czemu *Gazeta polska*, mając korespondenta w orszaku Battenberga, nie zażądała od niego telegramów, któreby wcześniej uwiadomiły nas o wypadkach ciekawych i ważnych, niż depesze pośrednie, drutami i kołowemi drogami do nas przybywające? Jak widać ze wzmianek w obcych dziennikach, chwilowo jedynym dziennikarzem przy ks. bułgarskim był p. Grzegorzewski, a tej jego bytności Warszawa długo ani się domyślała i odbierała doniesienia przez Berlin i Petersburg. Bo korespondent polski jest gawędziarzem swego dziennika, ale nie telegrafistą — jak francuski, angielski lub niemiecki, a nasze redakcye pism zaledwie weszły w okres posługiwania się drutem. My jeszcze nie oceniamy szybkości doniesień i jeszcze umiemy cierpliwie czekać na „pocztę." Alboż to dawne czasy, kiedy ta poczta była wyłącznie niemal dostarczycielką depesz politycznych!

Przed kilku dniami przedstawiciele tutejszego obywatelstwa i prasy święcili wzruszającą uroczystość: „*Niemieckie* kontynentalne towarzystwo oświetlenia gazem w Dessau" wmurowywało kamień węgielny swego nowego zakładu za rogatkami wolskiemi. Zawsze trudno mi się odpowiednio nastroić do poświęceń: restauracyj, bawaryj, fabryk i wszelkich „geszeftów" prywatnych, chociaż tam znajduje się i ksiądz w komży z kropidłem, i reprezentanci obywatelstwa oraz prasy. Uważam, że na tych odpustach każdy jest posłańcem, na którym przedsiębiorca przykleja swą reklamę, płacąc za nią kawałkiem mięsa i kieliszkiem wina. Z zaproszenia zaś na ceremonię owego kamienia węgielnego nie skorzystałem tembardziej, że „*Niemieckie* kontynentalne towarzystwo w Dessau," chociaż nas oświeca, samą swą nazwą wywołuje mi mroczki przed oczami. Dziś żałuję tego uprzedzenia, bo nazajutrz *Kuryer warsz.* pouczył mnie, jak ono było niedorzecznem: „Uroczystość — pisze on — zakończyła się *śniadaniem*, które nastręczyło

sposobności do wielu toastów, *świadczących*, że nowy zakład gazowy pod dzisiejszem kierownictwem szczerze *dobro miasta mieć będzie na celu.*" Bez „śniadania," bez „toastów," mogliśmy wątpić o zamiarach „Niemieckiego towarzystwa kontynentalnego," ale wobec tak przekonywających dowodów — trzeba uledz i nawet nie westchnąć, że ta kopalnia zysków spoczywa w rękach, które trzymają dla nas puszkę Pandory. W tej puszce oprócz smutków i rozczarowań leży zapewne na dnie wiara, że gdyby „Polskie kontynentalne towarzystwo" założyło fabrykę gazu w Berlinie i zaprosiło na uroczystość rozpoczęcia budowli obywateli i literatów, ci przybyliby tłumnie bez żandarma z nakazem, polecającym owemu towarzystwu wynieść się w ciągu 24 godzin. A może za rogatkami wolskiemi przy tej „sposobności" zawarty został ponownie związek małżeński rozwiedzionych narodów, przy okrzykach: „kochajmy się!" „Szczęść Boże młodej parze!" a redaktor, żyjący polską krzywdą, *National Zeitung*, któremu również grono literatów warszawskich wyprawiło śniadanie, pewnie tę parę błogosławi. Nie życzą jej „wszystkiego dobrego" 30,000 pruskich wygnańców i setki ofiar zaciekłości niemieckiej, nieznającej miłosierdzia ani dla choroby, ani dla nieszczęścia i litościwszej względem psów skaleczonych, które się na jej podwórze zawloką, niż względem ludzi. Ale o tych mniejsza — skoro „toasty zaświadczyły, że nowy zakład gazowy szczerze dobro miasta mieć będzie na celu." Pewność murowana — więc niema co szemrać i z linii prostej robić krzywej, czyli po prostu: „dyfamować."

Jesto nawet rzecz niebezpieczna, bo grozi procesem. Wiadomo, że kodeks nasz posiada paragraf, zapewniający nietykalność ze strony opinii publicznej — o dyfamacyi. Skarga bowiem o zniesławienie (dyfamacyę) odbiera pozwanemu możność dowodzenia zarzutu. O to wcale nie idzie, czy kto i jest rzeczywiście złodziejem lub oszustem, ale o to, że nikt nie ma prawa go tak tytułować. I znowu w sądzie tutejszym odbyła się tego rodzaju sprawa prasowa, zakończona ukaraniem redaktora. Nie rozbierając jej tu, bo sama przez się wcale nas nie obchodzi, zaznaczamy tylko, że wobec istnienia paragrafu o dyfamacyi, (który na szczęście w nowym kodeksie ma być zniesiony) wszelkie wykrywanie łotrostw i nadużyć jest dla prasy prawie niemożliwem. Obrażony bowiem, choćby wczoraj wyszedł z kryminału, albo miał wszelkie warunki stałego tam mieszkania, pójdzie do sądu i oskarży redaktora o zniesławienie. W pewnych, rzadkich wypadkach droga ta ma pewne przymioty, ale zwykle jest gościńcem, którym tłoczy się banda społecznych opryszków i ladacznic — ludzi, którzy mają pożądania łotrów a gusta uczciwych. Z radością powitamy dzień, w którym ten gościniec przez nową ustawę karną zostanie dla użytku publicznego zamknięty.

Ja bym również zamknął dla pogrzebowych tłumów bramy cmentarne i otwierał je tylko dla małego orszaku krewnych i przyjaciół nieboszczyka. O pomstę do sumienia woła to spustoszenie, jakie publiczność warszawska po każdym liczniejszym pogrzebie rozpościera na Powązkach. Gdyby przez to miejsce drogich relikwij i świętych boleści przeszedł tabun dzikich koni, mniejby pozostawił śladów zniszczenia, niż rzesza ludzka, towarzysząca zwłokom Królikowskiego: rozdeptane mogiły, połamane kwiaty, rośliny i sztachety, poprzewracane krzyże, uszkodzone pomniki. A przecież to nie są tylko ozdoby spacerowego ogrodu, lecz ołtarze strasznych ludzkich cierpień; te świętokradzko zdeptane kwiatki na mogiłach skrapiane są łzami ojców i matek, dzieci, żon i mężów, te zniszczone groby są urnami najrozpaczliwszych boleści. Czy pomyśleli o tem wandale pogrzebowi? Czy nie ma siły, któraby te hordy powstrzymała od bezecnego koczowania po przybytkach smutku? Czyż ta dzicz istotnie nie ma serca, które kiedykolwiek płakało na drogim grobie? Powtarzam: niesforny tłum licznych pogrzebów nie powinien być wpuszczany na Powązki: tam wstęp mieć winni tylko ci, co niosą boleść własną i umieją uszanować cudzą.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Polemika o zapis Trzcińskiego. — Dodatek do dytyrambu. — Kilka dziwnych rzeczy. — Zuchwalstwo żydowskie. — Dwa szpitale.

W sprawie niewłaściwego rozdania zapomóg z zapisu Trzcińskiego dochodzą nas różne głosy, bądź to prostujące jeden szczegół, bądź — jak np. nadesłany niedawno obszerny memoryał— traktujące rzecz całą ze stanowiska ogólnego. Niedokładność prostujemy chętnie, ponieważ kilku ludzi poważnych i zasługujących na wiarę zapewnia nas, że p. Sz., który otrzymał wsparcie, nie jest bynajmniej „pokątnym doradcą," jak go nazwał nasz korespondent, tylko b. urzędnikiem, pobierającym szczupłą emeryturę, zajmującym się wprawdzie załatwianiem cudzych interesów, ale sumiennie i gorliwie. Jeżeli wzmianka nasza mogła wyrządzić mu krzywdę niesłusznie, wskutek niewłaściwego wyrażenia korespondenta, chętnie omyłkę mimowolną poprawiamy.

Nie mogę jednak zgodzić się z autorem obszernego wyjaśnienia, ani w szczegółach, dowody bowiem jego nie przekonywają mnie wcale, ani tembardziej we wnioskach, jakie z danej sprawy wyciąga. Pomijam stronę faktyczną, dodając tylko, że rozdział funduszów nie musiał być dokonanym prawidłowo, jeżeli w tylu pismach podniesiono przeciw niemu zarzuty, zwrócę zaś jedynie uwagę na rozumowanie autora, ponieważ rzecz ta posiada pewną doniosłość ogólną. P. S. C. chciałby odebrać głos wszelkiej krytyce, ponieważ wykonawcy testamentu posiadali prawo sumę, przeznaczoną na zapomogi — „rozdzielić według swego uznania i wyboru." Nie da się jednak chyba zaprzeczyć, że zapis miał pewien cel publiczny, o którego doniosłości sprzeczać się można, ale nie można odejmować mu charakteru właściwego. Wykonawcy w działaniach swych nie byli obowiązani krępować się żadnemi formalnościami, ani usprawiedliwiać się... lecz tylko przed sądem, nie zaś przed opinią publiczną. Społeczeństwo nie zrzeka się przywileju kontroli nad czynami swych członków, zresztą sami wykonawcy uznają widocznie słuszność tego wymagania, jeżeli dają wyjaśnienia. „Przysięgły nie potrzebuje motywować swego orzeczenia, sędzia nie odpowiada za zdanie" — pisze p. S. C. Jest to analogia nieodpowiednia i nieprawdziwa. Są wypadki, w których sędzia i przysięgły mogą być nawet ukarani za swe zdanie, jeżeli zostanie im dowiedzionem, że działali pod wpływem pobudek osobistych jakiegokolwiek rodzaju. Przyznaję, że w danym wypadku porównanie to nie może być stosowanem, ale i wtedy, kiedy sąd i przysięgli wydadzą wyrok według sumienia, głos ogółu może zdanie ich krytykować i czyni to zawsze w sposób mniej lub więcej jawny, w granicach dozwolonej swobody słowa. Można uchylić się od wypełnienia obowiązku obywatelskiego, jak to uczynił pierwotny, testamentem wyznaczony, wykonawca zapisu, ale kto raz podjął się tego ciężaru, winien spokojnie poddać się krytyce ogółu. Inaczej obowiązek honorowy nie byłby żadną zasługą, gdyż dawałby tylko rozgłos i uznanie bez żadnych nieprzyjemności. Jeżeli zarzuty są niesłuszne — należy je obalić, jeżeli są słuszne — można wykazać swą dobrą wolę, która w takim razie będzie okolicznością, zmniejszającą winę lekkomyślności czy nieumiejętności wywiązania się z dobrowolnie przyjętego zadania. Wina taka nie hańbi jeszcze człowieka. Krytyka nie zrazi bynajmniej zapisodawców, owszem zachęci ich, bo przekona, że szlachetne ich zamiary nie pójdą na marne, że społeczeństwo bacznie strzedz będzie prawidłowości wykonania ich ostatniej woli. U nas dlatego właśnie niewiele bywa zapisów, że nikt nie jest pewnym, czy wola jego spełnioną będzie jak należy. Jeżeli nie we wszystkich tego rodzaju wypadkach krytyka jest możliwą, nie tamujmy jej tam przynajmniej, gdzie swobodnie wyrazić się może. Ani „prawo," ani „słuszność," ani „obyczaj" nie stwierdzają bynajmniej tej zasady, że kto postępuje „według wewnętrznego przekonania" wolnym już jest od wszelkiej odpowiedzialności wobec swych współobywateli. Owszem, odpowiedzialność ta stosowaną być powinna bardzo szeroko i wtedy tylko odpowiedzialność sądowa ograniczać się może jedynie do faktów dokładnie zbadanych i zaświadczonych.

Zamiast tych wszystkich niewłaściwych argumentów p. S. C. mógł w obronie sprawy użyć dowodów jasno przekonywających, z których jeden sam nawet wymienił, ale nie położył nań dostatecznego nacisku. Z 36 osób, które otrzymały zapomogi, przeciwko 5 tylko wystąpiono z pewnymi zarzutami. Umiejętny obrońca tę właśnie okoliczność potrafił by wyzyskać, bo ona dowodzi, że pomimo pewnych omyłek, zapis wykonanym był względnie dobrze. Tymczasem p. S. C. zwraca się z zarzutami przeciwko prasie, odmawiając jej prawa krytyki, wypowiada przytem zdania nieuzasadnione i broni poglądów, które każde społeczeństwo, dbałe o swój rozwój prawidłowy i zdrowie moralne, surowo potępiać powinno. Nie poprzestając na tem, schodzi do szczegółów i stara się dowieść, że urzędnik, który w mieście prowincyonalnem pobiera 1,200 rs. (właściwie 1.080) nie ma za co wychowywać dzieci. A iluż to jest urzędników w Warszawie, którzy przy mniejszej jeszcze pensyi dają dzieciom naukę, nie otrzymując zapomóg? Zresztą jeżeli p. S. C. tak skrupulatnie oblicza wytrącone na składkę emerytalną 120 rs., to dlaczegoż nie wspomina o gratyfikacyach, wydawanych corocznie urzędnikom Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego? Dla obeznanych ze stosunkami wiejskimi zabawnem wyda się zaręczenie, że sekwestrator ma tylko 600 rubli dochodu. Bardzo być może, że majątek ziemski obdarowanego urzędnika obciążony jest nad wartość długami hypotecznymi i że chętnie oddałby go każdemu, kto przyjąłby na siebie spłatę tych należności, ale ja znowu znam takich, którzyby np. owemu „ubogiemu" nataryuszowi za posadę jego zapłacili sumę, zupełnie wystarczającą na zabezpieczenie sobie bytu. Najkomiczniej jednak wygląda „zapomoga na zagospodarowanie" udzielona b. urzędnikowi, który pobiera 141 rs. emerytury i otrzymał bezpłatnie 2 włóki, 23 morgi gruntu pod miasteczkiem. Jeżeli, jak p. S. C. twierdzi, w guberni płockiej mieszka kilka tysięcy b. urzędników, potrzebujących wsparcia, to pomiędzy nimi znalazłoby się zapewne wielu niemniej zasłużonych a bardziej potrzebujących zapomogi, aniżeli ten „wstydzący się żebrać" właściciel folwarku.

Na zakończenie tej długiej polemiki podkreślam jedno jeszcze zdanie z repliki p. S. C., który skarży się: „taka nagroda spotkała sukcesorów Trzcińskiego za to, że mogąc przez proces unieważnić zapis, jak już wiele zapisów unieważniono, skargi nie wnieśli, zapis wykonali dobrowolnie"

itd. Jakto, więc nagroda ma już dostawać się ludziom nietylko za to, że spełnili obowiązek, ale nawet za to, że nie dokonali występku? Bo przecie zwalenie zapisu byłoby czynem *nieuczciwym*, którego nie usprawiedliwia bynajmniej ta okoliczność, że wielu tak postąpiło. Na szczęście tych wielu nie jest jeszcze większością, więc i postępowanie spadkobierców Trzcińskiego nie zasługuje na żadne wyróżnienie, tembardziej na nagrodę.

Takie same mniej więcej prawo do nagrody posiadają pp. Hielle i Dietrich, którzy „wzbogacili" przemysł krajowy założeniem fabryki worków dżutowych w Błesznie pod Częstochową. Nie mam wcale zamiaru szerzej rozwodzić się nad tym faktem, chciałbym tylko do dytyrambu, wyśpiewanego przez *Dziennik łódzki*, dodać maleńką uwagę, oświetlającą dziwny sposób rozumowania tego pisma przemysłowo-handlowego. Jak wiadomo w Błesznie p. Kronenberg chciał założyć fabrykę płótna, któraby współzawodniczyła z zakładami żyrardowskimi. Zamiar ten nie przyszedł do skutku i p. Kronenberg sprzedał zabudowania fabryczne swym współzawodnikom. Nie ma wątpliwości, że ta zmiana planów była rezultatem walki, w której jedna strona uległa; w swoim czasie szeroko o tem pisano a szerzej jeszcze mówiono. Kiedyś przebieg tego współzawodnictwa, należycie oświetlony, zapełni kilka ciekawych kartek w dziejach naszego kapitalizmu. Otóż *Dziennik łódzki* twierdzi obecnie, że żadnej walki nie było i jako dowód przytacza, że pp. H. i D. sami zwinęli fabrykę w Błesznie, co jakoby dowodzi, że drugie przedsiębiorstwo tego rodzaju nie miałoby u nas powodzenia. O panie sprawozdawco *Dziennika*, kto ciebie uczył logiki i ekonomii, lub raczej, czy uczyłeś się kiedykolwiek tych rzeczy? Czegoż bowiem dowodzi przytoczony fakt? Tego tylko, że właściciele zakładów żyrardowskich zwinęli fabrykę, która współzawodniczyłaby z ich własną. Gdyby w Błesznie istniała fabryka p. Kronenberga lub należąca do kogokolwiek innego, wskutek konkurencyi stopa dochodu obu przedsiębiorstw wynosiłaby znacznie mniej, aniżeli dzisiaj dają zakłady żyrardowskie. Rzecz naturalna, że dla rozszerzenia zbytu towaru z dwóch fabryk, chociażby należących do jednego właściciela, trzebaby zniżyć cenę wyrobów, a więc zmniejszyć dochód. Zamiast z 5,000,000 rs. otrzymać, dajmy na to, 12% dochodu, pp. H. i D. z 10,000,000 otrzymywaliby 6%, w najlepszym zaś razie 7 lub 8%. Suma wpływu pozostałaby bez zmiany lub zwiększyła się, ale przedsiębiorcy wolą przecie i z drugich 5,000,000 pobierać 12%, zakładają więc fabrykę worków dżutowych, która ma zapewnione widoki powodzenia. Rzecz to bardzo naturalna, powiem nawet godziwa, świadcząca o tem, że właściciele Żyrardowa są kapitalistami rozumnymi, co zresztą nie potrzebuje dowodzenia. Tymczasem usłużny *Dziennik* stara się objaśnić rzecz całą w ten sposób, że druga fabryka w kraju nie miałaby powodzenia. Być może — tylko nie dlatego, że pp. H. i D. zamknęli fabrykę w Błesznie, owszem z tej racyi właśnie wnosić można, że przedsiębiorstwo tego rodzaju mogłoby się utrzymać, gdyż widoczne kapitał w przemyśle lnianym wskutek monopolu pobiera tak wysokie zyski, że niema potrzeby rozszerzania ilości produkcyi.

Warszawskij Dniewnik zaznacza, że fabrykanci niemcy niewiele zwracają uwagi na środki, przeciw nim wymierzane, ale wciąż zakładają nowe przedsiębiorstwa, w nadziei, że spodziewana ustawa, dotycząca przemysłowców cudzoziemców, zastanie już ich jako właścicieli fabryk, jako obywateli kraju, „w którym czują się jak u siebie," a może nawet lepiej niż u siebie. *Dniewnik* robi uwagę, że naturalnemi są zupełnie ze strony niemców starania w tym kierunku, dziwnem zaś nieco, że otrzymują pozwolenie na budowę fabryk. No, ale rzeczy dziwnych dosyć jest na świecie.

Oto np. niemniej dziwnem jest, że w fabrykach należących do izraelitów, niemcy technicy i robotnicy stanowią dosyć znaczny procent ogólnej liczby, kiedy współwyznawcy przedsiębiorców z trudnością są przyjmowani. Zdarza się nawet nieraz, jak utrzymuje korespondent *Woschodu*: że kapitaliści mojżeszowego wyznania odpowiadają kandydatom: „ja nie chcę trzymać żydów." Tyle mówiono o potrzebie skierowania ludności żydowskiej do pracy produkcyjnej i właśnie mówili o tem izraelici wykształceni, że zdawało się, iż właśnie oni dopomogą w tem dążeniu współbraciom swoim. Okazuje się przeciwnie. Jedną z najważniejszych przeszkód jest podobno święcowanie soboty, które przerywa prawidłowy bieg robót. Przeniesienie święcenia szabasu z soboty na niedzielę nabiera więc doniosłego znaczenia. W Białostoku żydzi stanowią około 20% robotników, pracują jednak wyłącznie prawie w fabrykach tytoniu lub jako tkacze, ponieważ w tych zajęciach płaca nie jest dzienną, lecz od ilości wykonanej roboty. Mogą oni być jeszcze tkaczami w Białostoku, gdzie są przeważnie warsztaty ręczne, ale nie mogą już być nimi w Łodzi, ponieważ tam istnieją warsztaty mechaniczne. Święcenie soboty nie jest wszakże jedyną przyczyną wyłączania robotników-żydów, bo np. niżsi technicy, nawet niektórzy rzemieślnicy chętnie zgadzają się pracować w sobotę, pomimo to nie znajdują miejsca w fabrykach, należących do ich współwyznawców. Nie dziwię się zresztą tym ostatnim, chociaż nie pochwalam ich postępowania; niechby tylko przyjęli znaczną ilość robotników-żydów, te same pisma, które dziś ich ganią, że współwyznawcom swym nie ułatwiają pracy produkcyjnej, zaczęłyby krzyczeć o zżydzeniu przemysłu, solidarności kahalnej itd. Tak czy owak żydzi zawsze źleby wyszli na tym interesie, zarobiłby zaś tylko niejaki Szmul Jojna Hirsch, użyźniłby bowiem opisem nowych nieprawości żydowskich kilka zagonów swej jałowej roli.

W *Korespondencie płockim* czytam właśnie opis oburzającego zuchwalstwa żydowskiego. Do piwiarni „ośmielił się" wejść krawiec starozakonny, kiedy zaś oburzony tą bezczelnością jakiś urzędnik delikatnie wziął żyda za brodę i łagodnie doń przemówił: „ty żydzie, robisz z czarnego białe, a z białego czarne, ty sprzedałeś Jezusa Chrystusa, ja ciebie w więzieniu osadzę" — zuchwały semita nietylko że odważył obrazić się, ale powziął nikczemny zamiar oskarżenia niewinnego obywatela. Niestety, znalazł się sędzia, który skargę przyjął i pomimo wymownej obrony oskarżonego, że postępek jego był tylko objawem „pewnej życzliwości i poufałości," skazał urzędnika na 10 dni aresztu. Kiedyż położony będzie kres zuchwalstwu żydowskiemu, które w dzisiejszych okolicznościach, zamiast właściwego skarcenia, znajduje dziwne pobłażanie...

Skończyłem. Wobec przepowiadanego przez *Rolę* bankructwa pism postępowych, postanowiłem spróbować, czy nie potrafię przystosować się do wymagań tryumfujących współzawodników. Czuję, że nie zdołam jeszcze dorównać bogactwu i dobornym wyrażeń stylu p. Jeleńskiego, ani tej dziwnej łatwości, z jaką mąż „o słowiańskim obliczu" charakteryzuje się to na „hreczkosieja," to na „postępowego szlachcica," to na „matkę-polkę," to wreszcie na „rzemieślnika," ale mam nadzieję, że zapatrując się na „wąsatego szefa," wyrobię wreszcie w sobie odpowiedni talent pisarski. Tylko takiego oryginalnego przecinkowania, tylko tego rycerskiego wyzwania, rzucanego śmiało zasadom gramatyki i ortografii, nie nauczę się nigdy. Niestety, losy nie pozwoliły mi ani być konduktorem, ani też korzystać ze światłych wskazówek burmistrzowej z Terespola.

W ubiegłym tygodniu pisma doniosły o założeniu dwóch szpitali. Jeden z nich w Tomaszowie, mieście fabrycznem, wznosi się bardzo powoli, dźwigany ofiarnością kilku jednostek lub wpływami przypadkowymi. Drugi powstał w Lublinie z inicyatywy prywatnej i dziś już znajduje w nim przytułek w razie choroby lub starości kilkudziesięciu nieszczęśliwych... kotów.

J. Nieborski.

CUDZE GŁOSY.

PRASA ROSYJSKA.

Russkija Wiedomosti protestują przeciw myśli zajęcia Bułgaryi przez wojska rosyjskie, czego domagają się niektóre dzienniki.

„Narazilibyśmy się" (wrazie okupacyi) „na to, że na półwyspie Bałkańskim zamiast wiernych sojuszników wytworzyłaby się Polska bułgarska, a nadto zdyskredytowalibyśmy się w oczach ludów słowiańskich; przypuszczenia takiego w żadnym razie nie można poczytywać za niezmiernie pesymistyczne, wobec głosów dzienników słowiańskich, gdyż, jakkolwiek stanęły one" (dzienniki) „w stosunku wrogim do księcia Battenberga, ale żaden z nich wcale się nie oświadczył za tem, ażeby Bułgaryę zmienić w gubernię rosyjską, a niektóre (np. *Politik*, *Hlas naroda* oraz inne) nawet wprost wyraziły pogląd, całkiem nieprzychylny dla rozwiązania kwestyi słowiańskiej wogóle i bułgarskiej wszczególności, w duchu zlania strumieni wszystkich słowiańskich w jedno morze rosyjskie."

Petersburskija Wiedomosti objaśniają „pobłażanie" rządu rosyjskiego dla regencyi bułgarskiej w ten sposób:

„Widocznie Rosya weszła w porozumienie z mocarstwami, co do uznania obecnego rządu bułgarskiego. Podobny krok wydaje się niejakiem przeciwieństwem z interesami i celami polityki rosyjskiej, ponieważ pp. Karawełow, Stambułow i Mutkurow, których ks. Battenberg zostawił na pamiątkę po sobie w charakterze regentów, należą do stronnictwa wrogiego wpływowi rosyjskiemu. Wypadki roku ostatniego dały wiele powodów i sposobności do okazania tej nieprzyjaźni; gra szła na odkryte i różne wybryki Petki Karawełowa jasno wykazały w nim człowieka, nietylko nienawidzącego Rosyi, ale takiego, któremu ta nienawiść jest niejako osłodą serca i umysłu. Stąd też rodzą się nader słuszne obawy, że rząd, w którym człowiek ten zajmuje pierwsze miejsce, nie może być niczem innem, tylko dalszym ciągiem „battenbergiady," i że nie można oczekiwać od takiego rządu szczerego pojednania z rosyjską polityką. Jeżeli jednak Rosya zachowuje się względem teraźniejszej regencyi bułgarskiej z wielką tolerancyą, istnieją też zapewne okoliczności, dzięki którym Karawełow stał się osobistością najwłaściwszą do odegrania w obecnym czasie przypadłej na niego roli.

Kiedy po przewrocie z 21 sierpnia rząd tymczasowy utworzył się po większej części ze stronników Rosyi, wyraziliśmy wtedy przekonanie, że pozbawiony jest powagi i że niezdolny jest utrzymać się, a przewidywania nasze, wbrew zapatrywaniom wszystkich innych gazet, w zupełności zostały usprawiedliwione; we dwa dni wybuchła kontr-rewolucya, dokonana przez Karawełowa, Stambułowa i Mutkurowa, przy poparciu angielskich, a może być i jakich innych jeszcze agentów. Tym sposobem, sam bieg spraw okazał, że trymwirat ten przedstawia największą siłę w kraju, a w polityce można też liczyć się tylko z tymi ludźmi i stronnictwami, które posiadają siłę.

Nietrzeba spuszczać z uwagi innej ważnej okoliczności. Inteligencya bułgarska, przez krótki czas swej politycznej roli, kompromitowała się przedajnością, przekupstwem i wziątkami. W takim stanie rzeczy dźwięk angielskiego i każdego innego złota ma ogromne znaczenie. Reputacya Karawełowa i jego popularność w narodzie zasadza się, przeciwnie, na przekonaniu o jego nieprzedajności. Przy wszystkich swoich wadach ten lejb-radykał byłego księcia uważany jest za nieczułego na pokusy kupna i sprzedaży. Żartownisie twierdzą, że Karawełow uczciwy jest dla tego, że na nic nie potrzebuje pieniędzy: rzadko zmienia bieliznę, je tylko ryż z papryką i śpi na brudnej pościeli. Taki człowiek jeżeli zdradzi, to nie dla pieniędzy.

Z oddaleniem się księcia Battenberga, stosunki między Rosyą i Bułgaryą muszą koniecznie szukać dla siebie innego gruntu. Pierzchnąć winny omamienia i złudzenia, kłamstwa wyjść na wierzch, a społeczność osiągnąć naukę z przykładów. Nie zdziwilibyśmy się, gdyby niedaleka przyszłość pokazała, że Karawełow zdolny jest pozbyć się wielu uprzedzeń i obaw względem Rosyi i uznać obustronną korzyść takiego politycznego z nią przymierza, jakie ta ostatnia, widocznie, gotowa jest zaproponować. Karawełow nie może być oszukanym przez to samo, czem on, służąc Battenbergowi, oszukiwał naród bułgarski. On wie, że Rosya nie czyha na niezależność oswobodzonego przez się kraju, i nietylko nie zamierza przeszkadzać samorządowi, ale chętnie dopomagać mu będzie, kształcąc w swych zakładach naukowych przyszłych bułgarskich ministrów i oficerów. Rosya wymaga tylko od Bułgaryi przymierza politycznego, strzegącego naszych interesów na Czarnem morzu i stanowiącego obronę naszego międzynarodowego położenia tam, gdzie książe Battenberg chciał usłać gniazdo wrogiej nam intrydze."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ograniczenie. Ministeryum sprawiedliwości wydać zamierza przepisy, ograniczające praktykę pomocników adwokatów przysięgłych. Pomocnicy nie będą mogli stawać w sądzie we własnem imieniu, lecz tylko w zastępstwie adwokata, przy którym są zapisani.

Objaśnienie. W nr. 37 *Prawdy*, w odcinku, na str. 436 i 437 ustępy odgraniczone szerszym między wierszami przedziałem, stanowią osobne całostki „Rytmów."

Rada lekarska w Petersburgu zabroniła przywozu do państwa rosyjskiego 700 rozmaitych lekarstw zagranicznych, podawanych jako nieomylne środki, a uznanych obecnie za szkodliwe dla zdrowia.

Liga celtycka zawiązaną ma być z inicyatywy kilku wybitnych posłów irlandzkich. Wkrótce odbędzie się zjazd, w którym przyjmą udział przedstawiciele Irlandyi, Walii, Kornwalii i północnej Szkocyi. Dotychczas w Irlandyi około 800,000 osób mówi po celtycku, w Szkocyi około 400,000, w Walii — 1,000,000 i tam istnieje literatura oddzielna, oraz wychodzą pisma w języku miejscowym. Wszystkie narzecza są podobne do siebie. Patryoci irlandzcy twierdzą, że naród ich wrócić powinien do rodzinnego języka.

Cholera szerzy się wciąż na pomorzu adryatyckiem, a w połowie bieżącego miesiąca ukazała się już w Peszcie i okolicy.

Muzykalność Warszawy. Według obliczeń policyi w Warszawie przebywa obecnie 586 kataryniarzy, 180 arfiarek, 52 skrzypków wędrownych, około 200 grajków na flecie, klarynecie, trąbce itd. i wreszcie przeszło 1,000 śpiewaków podwórzowych, nie licząc „artystów" przybywających do miasta na czas pewien. Ciekawa rzecz, ilu jest żebraków niemuzykalnych?

Nowe pismo wychodzić ma w Kielcach. Będzie to dziennik, zapełniony wyłącznie informacyami i ogłoszeniami, z dodatkiem tygodniowym, poświęconym sprawom rolnictwa i przemysłu.

Teatr. W Petersburgu, w ciągu miesięcy zimowych dawać będzie podobno przestawienia towarzystwo dramatyczne polskie pod dyrekcyą p. Łukowieza, złożone z artystów krakowskich i prowincyonalnych. P. Teksel zaś otrzymał pozwolenie na otwarcie teatru polskiego w Odessie.

Statystyka. Włościanie w gubernii kaliskiej w 1864 r. posiadali 678,622 mórg ziemi, w ciągu lat 18-tu (do 1882 r.) powiększyli grunta swoje o 50,524 morgi, w tem połowa prawie przypada za zamianę serwitutów.

Ciekawa wiadomość. Korespondent rzymski *Times'a* donosi, że jezuici kilkakrotnie usiłowali otruć papieża, aż nakoniec przestraszony Leon XIII wydał bullę, przywracającą przywileje zakonu.

Wielkie przedsiębiorstwo. Inżynier Pressl z Wiednia otrzymał *irade* sułtańskie, udzielające mu koncesyi na budowę dróg żelaznych w Małej Azyi. Linia główna połączy Konstantynopol (właściwie Skutari) przez Brussę, Angorę i Bagdad z zatoką Perską. Linie boczne prowadzić będą do jednego z portów syryjskich, do wybrzeży morza Czarnego i do Erzerumu. Długość całej drogi wynosić będzie 4.400 kilometrów.

Badnnia wzroku. Dr J. Koliński w Łodzi zbadał wzrok uczniów w szkołach miejscowych. Procent słabowzrocznych wynosi 39%, krótkowidzów zaś wyższego stopnia 16%. W klasach wyższych zwiększa się nietylko procent słabowzrocznych, ale i stopień krótkowidztwa.

Muzeum sztuk pięknych. Władza wyższa zatwierdziła plan budowy domu dla pomieszczenia muzeum sztuk pięknych. Zawiązkiem zbiorów ma być gabinet odlewów gipsowych, znajdujący się obecnie pod zarządem uniwersytetu i tułająca się gdzieś galerya kopij różnych arcydzieł malarstwa.

Zmarli. Książę Decazes, minister spraw zagranicznych w kilku gabinetach, podczas prezydentury Mac-Mahona.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. w Kijowie. Dr Piotr Chmielowski od 20 czerwca do końca października przebywa za granicą, obecnie jest w Meranie. W redakcyi przez ten czas zastępuje go kto inny.

Ogłoszenia.

Cena **rs. 1.** (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Сентября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**